

# Salamandra



STEFAN GRABIŃSKI

# Salamandra

POWIEŚĆ FANTASTYCZNA

## ŁUDZIE Z MOSTU ŚW. FLORIANA

Od pewnego czasu wtargnęły w orbitę mego życia zagadkowe moce i natrętnie zastępują mi drogę; wpadłem na trop zdarzeń, które pozornie niewinne, odziane dla niepoznaki w potulny płaszczyk codzienności, muszą zastanawiać przez swą uporczywość. Bo muszę uznać za przypadek wyjątkowy zbieg okoliczności powtarzających się raz, dwa, trzy razy w jakimś odstępie czasu — lecz jeśli coś podobnego rzuca mi się w oczy niemal codziennie i prześladowuje sobą od kilku tygodni, mimo woli budzi się podejrzenie, czy nie ma się do czynienia z ukrytym celem. Czyżbym stał na progu nowego okresu w moim życiu? Miałyby po latach szarżyny i cichej powszedniości odchylić się w księżde mego losu pierwsza karta tajemnicza?...

Tajemnica, Los

Co mnie może obchodzić *ten człowiek*? Dlaczego od miesiąca ciągle go spotykam w najrozmaitszych punktach miasta? Co mnie może obchodzić ten szczupły, wysoki człowiek w wicherze siwych włosów, w wytartej zarzutce?...

Nigdy nie zachodzi mi drogi od razu; zawsze przedtem „zapowiada się”. Na parę minut przed spotkaniem zawsze *przywiduje mi się* w kimś innym. Podobieństwo bywa czasem tak wielkie, że przysiągłbym na jego identyczność; dopiero w ostatniej chwili, gdy już mijam nieznanego przechodnia, orientuję się, że to przecież ktoś inny. W kilka minut potem spotykam się z *nim* naprawdę.

Czy on to robi z umysłu<sup>1</sup>? Wątpię. Przeciwnie — zdaje się, dotychczas nawet mnie nie zauważył: nigdy na mnie nie patrzy — jego łagodne, szaroniebieskie oczy zawsze zatopione są gdzieś w przestrzeń... Dziwny człowiek. Czyżby go popychała ku mnie tajemnicza siła? A może on w ogóle o tym wszystkim nic nie wie, a tylko ja, właśnie ja chodzę za nim jak cień? Czy owo „przywidywanie się” jest dziełem mojej podświadomej jaźni, która przeczuwając jego zbliżanie się, dopatruje się jego rysów na twarzach innych — czy też on naprawdę sygnalizuje swój rychły „przyjazd”, narzucając chwilowo własną maskę jednemu z przechodniów?... Problem nie do rozwiązania...

Parę razy, spotkawszy go gdzieś w samotnym zaułku, chciałem go już zaczepić i wprost zapytać, dlaczego mnie prześladowuje, lecz jakiś wstyd wstrzymał mnie w ostatniej chwili; nie mogłem zdobyć się na tę, bądź co bądź, impertynencję. Wszakże on mógł równie dobrze zadać *mnie* to samo pytanie...

Przechodząc dziś mostem Św. Floriana, znów ujrzałem *tych troje*. O ile się nie mylę, przytrafia mi się to już po raz piąty w tym miesiącu. Szczególny zbieg okoliczności! Kobieta, niezwykle piękna, rudowłosa, stoi pod prawym oblękiem mostu, tuż przy wejściu, i wkłada rękawiczkę perłowego koloru. O kilkanaście kroków od niej, mniej więcej już w połowie mostu, przechyla się przez jego żelazne przęsła, jakby badając nurty pieniącej się dołem Druczy, jakiś człowiek w rybackiej bluzie, z ostro zaciętą w klin, ryżawą bródką; gdy przechodzę koło niego, odrywa oczy od wody i wpija je w nieznaną; jest to spojrzenie pełne równocześnie nienawiści i bezgranicznego uwielbienia. Ona widocznie nie zwraca na to żadnej uwagi...

<sup>1</sup>z umysłu — dziś: umyślnie. [przypis edytorski]

A tam znów, u wylotu mostowego sklepienia, oparty ramieniem o figurę św. Floriana, wodzi po niebie rozmarzonymi oczyma mój siwowłosy nieznajomy, którego spotykam teraz tak często.

Co za dziwny traf sprowadza mi tych troje razem już po raz piąty zawsze na to samo miejsce i ustawia zawsze w tych samych pozach?! Doprawdy, wyglądają na aktorów powtarzających tę samą scenę z niewiadomego powodu. Czy widzi ich też ktoś inny prócz mnie na moście? Byłoby to wszystko uwerturą<sup>2</sup> do zdarzeń, które dopiero przyjść mają — projekcją mających zajść w dalekiej perspektywie wypadków? To pewne, że ci ludzie nie zdają sobie z tego zupełnie sprawy i że mnie nie znają. Więc czekajmy, czekajmy...

---

Wczoraj wieczorem byłem znów w Parku Strzeleckim na górze; jedyne miejsce spacerowe, które lubię; może dlatego właśnie, że nikt tu prawie nie zagląda. Park zapuszczony bardzo i na pół zdziczały. Przeszedłem wzdłuż aleję lipową i zatrzymałem się nad urwiskiem od strony południowej. Godzina była szósta, złota, zachodowa. Z dołu szedł stłumiony gwar miasta spowitego w dymy wieczorne, płynęły spizowe pacierze dzwonnów. W sąsiednim ogrodzie klasztornym poza siatką sztachet przesuwiał się orszak siostr karmelitanek. Zdawało się, że w ciszy zachodu słyszę szept ich warg w *Pozdrowieniu anielskim*. Czarne kontury habitów rysowały się smukle na tle zieleni, grały w purpurze konającego słońca białe kornety<sup>3</sup>... Skręciły gdzieś w bok pomiędzy drzewa i zniknęły mi z oczu. Po chwili usłyszałem śpiew chóru i organy.

Nieszpory w kaplicy — pomyślałem, odkrywając głowę.

Na dawnym placu tenisowym nie było nikogo. Ze szczelin popękanego w tysiącne rysy asfaltu wyzierały kępy trawy, podarta nielitościwie drucziana siatka załamała się w śmieszna linię strzępów.

Usiadłem na jednej z ławek i utonałem w zadumie. Nagle obudził mnie szelest lekkich kroków poza mną. Odwróciłem głowę, by o parę kroków od siebie, poza kratą klasztornego sadu ujrzeć w glorii zachodzącego słońca smukłą jak stela<sup>4</sup> grobowa zakonnice. Z ram śnieżnych kornetu wychylała się ku mnie anielska jej twarz. Na chwilę utkwiała we mnie spojrzenie dużych, smutnych oczu i zdawało się, że chce przemówić. Wstałem i mimo woli zbliżyłem się do dzielących nas sztachet. Kobieta z gestem lęku cofnęła się, wydając lekki okrzyk. Wtedy z uczuciem niewypowiedzianej trwogi i zdumienia „poznałem” moją narzeczoną.

— Halszko! — rzuciłem się ku kracie. — Halszko! Co to ma znaczyć?

Pięknej mniszki już w sadzie nie było. Jak spłoszony ptak pomknęła w gęstwą klasztornych jodeł, chroniąc się w zacisza świętego ustronia...

Gnany biczami okropnej niepewności zbiegłem z góry parkowej i wsiałszy do przygodnej dorożki, kazałem się zawieźć natychmiast do Grodzieńskich. Z łomocącym głośno sercem zapytałem sługę, czy panienka w domu. W odpowiedzi usłyszałem spoza drzwi jej drogi głos:

— Ależ naturalnie, mój Jerzy — jest we własnej osobie i czeka na próżno już od godziny, ty szkaradniku! Jak można było spóźnić się tak okropnie? Obiecałeś przecież być tu już o szóstej, niedobry!

Para słodkich ramion otacza mi szyję pieszczotą bluszczu, a na wargi moje splywa bezcenna łaska jej ust. Patrzę jej w oczy szczęśliwy, ściskam ręce, tulę do piersi jej cudną głowę.

— Halszko, Halszko moja!

Spogląda wzruszona silnie, lecz i z odcieniem zdumienia na twarzy...

## WIERUSZ

Poznałem go dzisiaj na odczycie doktora S. Mój siwowłosy nieznajomy nazywa się Wierusz — Andrzej Wierusz. Znajomość zawarliśmy w czasie dyskusji, jaka rozwinęła się

---

<sup>2</sup>uwertura — wstęp (dosł.: wstępna część utworu muzycznego). [przypis edytorski]

<sup>3</sup>kornet — biały, sztywny czepiec stanowiący nakrycie głowy zakonnicy. [przypis edytorski]

<sup>4</sup>stela — pomnik nagrobny w formie obelisku a. kolumny. [przypis edytorski]

po prelekcji. Temat jej poruszający zagadnienie „reinkarnacji i prawa karmy<sup>5</sup>” żywo nas obu zainteresował. Zabierałem parę razy głos, polemizując z prelegentem. Wierusz mi odpowiadał, biorąc poniekąd jego stronę. Po zamknięciu pogadanki zbliżył się do mnie pierwszy i przedstawił się. Głos jego cichy a głęboki i łagodny uśmiech, przewijający się na ustach, ilekroć mówi, działają ujmująco. Człowiek ten budzi od pierwszego słowa sympatię i zaufanie. Kto wie, czy nie będziemy przyjaciółmi.

Zaprosił mnie do siebie jeszcze tegoż wieczora na „skromną kolację”. Przyjąłem z miłą chęcią i byłem przyjemnie zdziwiony, gdy zamiast, jak przypuszczałem, na jakieś liche poddasze, zaprowadził mnie do pięknej parterowej willi w głębi zacisznego ogrodu przy ulicy Parkowej.

W urządzeniu wnętrza uderzał na pierwszy rzut oka surowy niemal purytanizm. Wierusz zajmował właściwie tylko dwa pokoje: sypialnię, wyposażoną po spartańsku tylko w najkonieczniejsze sprzęty, i pracownię — duży, za dnia jasno oświetlony słońcem pokój z parą wielkich gotyckich okien. Pozostałe dwie ubikacje<sup>6</sup> zawierały bibliotekę, która przedstawiała się imponująco. Wszystkie ściany były pokryte literalnie od posadzki po strop książkami.

Korzystając z chwilowej nieobecności gospodarza, który poszedł wydać instrukcje co do wieczery, przejrzałem kilka bibliotecznych kondygnacji, orientując się w treści po tabliczkach, przybitych na półkach.

Przeważały dzieła treści filozoficznej. Z podziwem przekonałem się, że Wierusz posiadał prace niemal wszystkich największych myślicieli od czasów najdawniejszych aż do doby współczesnej. — Nie mniej bogato przedstawiał się zbiór dzieł z zakresu psychologii i nauk przyrodniczych: nie brakło też książek poświęconych dociekaniom matematycznym i astronomii. Całą niemal ścianę drugiego pokoju zajęła „Wiedza tajemna”, najcenniejsze<sup>7</sup> prace okultystów wszystkich wieków i narodów.

Właśnie odczytywałem tytuł na grzbiecie książki jakiegoś hinduskiego filozofa, gdy usłyszałem za sobą głos Andrzeja:

— Teraz proszę na wieczerzę. Na to — wskazał oczyma długie, w brązowy safian<sup>8</sup> oprawne szereg tomów — będziemy mieli czasu dość i potem.

Wróciliśmy do pracowni, gdzie zastałem już na stole dwie dymiące filiżanki mleka, świeży, pachnący chleb i wazkę z masłem; obok, na pięknie rżniętym w kwarcu talerzu, czerwieniły się jesienne jabłka i winogrona.

— Wybacz pan brak mięsnej przekąski, lecz jestem jaroszem, a gości się dziś wieczorem nie spodziewałem.

— Mięsa na kolację nie jadam — odparłem, wychylając szklanek z mlekiem. — Czy pański wegetarianizm jest wynikiem zasady filozoficznej, czy też wypływa z własności pańskiego organizmu?

Uśmiechnął się:

— Ciało powinno iść za duszą, a organizm kształtować się w planie zasady. Myśl stwarza ciało i jego fizyczne predyspozycje — nie odwrotnie.

Zapadło na chwilę milczenie. Chociaż żaden z nas nie starał się go przerwać, nie czułem ani śladu zakłopotania, które w podobnej sytuacji zwykle powstaje. W towarzystwie tego dziwnego człowieka byłem swobodny jak u siebie; obecność jego nie krępowała zupełnie, przeciwnie: Wierusz działał szczególnie kojąco. Tutaj, w tym cichym, dobrym domu można było wszczynać i przerywać rozmowę, kiedy się chciało. Owszem — czuło się, że chwilowa przerwa w toku słów jest nie tyle wycoczynkiem, ile pogłębieniem myśli.

Po pewnym czasie rzekł, patrząc mi bystro w oczy:

— Niepotrzebnie stawał pan dzisiejszego wieczora w opozycji do prelegenta; byłbym i tak dziś pana pierwszy zaczepił.

Spojrzałem nań, niedobrze rozumiejąc.

<sup>5</sup>*karma* (sansk.) — w hinduizmie i buddyzmie los wynikający z sumy czynów danej jednostki, realizujący się zasadniczo w następnym wcieleniu. [przypis edytorski]

<sup>6</sup>*ubikacja* — tu: osobne pomieszczenie. [przypis edytorski]

<sup>7</sup>*najcenniejszy* (daw.) — najlepszy, najważniejszy. [przypis edytorski]

<sup>8</sup>*safian* — zabarwiona kozia skóra. [przypis edytorski]

— No tak — tłumaczył z łagodnym uśmiechem na ustach — właściwie bowiem chciał pan polemizować ze mną, nie z nim. Widząc, że poniekąd trzymam jego stronę, usiłował pan wbrew przekonaniu przeciwstawić mu się, aby mnie wyciągnąć na słowo i w ten sposób wejść ze mną w bliższą styczność.

Mimo woli zarumieniłem się. Andrzej w tajemniczy sposób odgadł intencję, którą sobie sam w ciągu dyskusji tylko bardzo niewyraźnie uświadamiałem.

— Istotnie — przyznałem pochylając głowę. — Zwrócił mi pan uwagę na rzecz, z której sobie sam nie zdawałem jasno sprawy. Pan czytał w moich myślach — dodałem po chwili z odcieniem niepokoju w głosie.

— Czasem udaje mi się pochwycić niektóre wibracje ludzkiej psyche — odpowiedział skromnie.

Podniosłem głowę i utkwilem badawcze spojrzenie w jego twarzy:

— W takim razie pan musi mnie znać już od dawna? Spotykaliśmy się niby przypadkowo niemal codziennie już od miesiąca. Czy pan o tym nic nie wie?

— Owszem. Znam pana znacznie dawniej, niż przypuszczasz; jażn pańska weszła w orbitę mego życia duchowego już od roku; wyczuwałem jej zbliżanie się na wiele dni przed tym momentem, w którymśmy się po raz pierwszy fizycznie spotkali.

— Czy być może? Szczególnie!

— Lecz pańską fizyczną fizjognomię<sup>9</sup> poznałem dopiero dzisiaj, na odczucie.

— Hm. To prawda. Ani razu przedtem nie zwrócił pan na mnie uwagi.

— Raczej *oczu* — chciał pan powiedzieć — i to *fizycznych* oczu, wyrażając się ściśle.

— Rzecz ciekawa. Zastanawiałem się nieraz już nad celem tych pseudoprzypadkowych spotkań i nie mogę go zrozumieć.

— Przyszłość okaże. Jestem starszy od pana, doświadczeńszy — mogę mu się na coś w życiu przydać.

— Ma pan słuszość — przyznałem z pokorą w głosie. — Czuję, że mi wiele, bardzo wiele niedostaje<sup>10</sup> i że tu, u pana, znajdę to, czego brak w życiu odczuwam. Jakiś głos wewnętrzny mówi mi w tej chwili, że dzięki panu pozbędę się tej *czczości*<sup>11</sup> duchowej i pustki, jaka od czasu do czasu rozwiera się przede mną w godzinie samotnych rozmyślań. Pan mi nie odmówi swej pomocy w razie potrzeby, nieprawdaż?

Położył mi łagodnie rękę na ramieniu i rzekł po prostu:

— Bądźmy przyjaciółmi, Jerzy!

Wzruszony wstałem i uściśnałem wyciągniętą ku mnie dłoń:

— Dziękuję.

— Przypadek w ogóle nie istnieje — mówił, siadając na krześle naprzeciw dużego ściennego zwierciadła. — Nigdy nie można z góry wydawać sądu o bezcelowości pewnych zdarzeń. Kto wie, czy nasza znajomość nie jest potrzebną w równej mierze dla nas obu?

— Czymże ja mogę przysłużyć się panu? — zapytałem zdziwiony.

— Choćby tym, że pozwoli mi pan rozciągnąć nad sobą rodzaj duchowej opieki.

Nagle urwał, wpatrując się w lustro naprzeciw. Skierowałem oczy w tę stronę i mimo woli wydałem okrzyk zdumienia... Z ram zwierciadła wychylała się ku nam postać demonicznie pięknej, rudowłosej kobiety w czarnej dżetowej sukni i pomarańczowym szalu na głowie. Patrzyła wyzywająco, nakładając perłowszarą rękawiczkę...

Poznałem ją. Była to kobieta z mostu Św. Floriana. Obróciłem się w przekonaniu, że ujrzę ją poza moimi plecami w sąsiednim pokoju, lecz nie spostrzegłem nikogo: poza mną czernił się tylko pusty, zmroczony poćmą nocy czworokąt drzwi bibliotecznych... Spojrzałem powtórnie w lustro. Teraz nie było w nim już nikogo; jasna, światłem lampy gazowej przepojona gładź odbijała już tylko moją własną postać. Zwróciłem się do Wierusza:

— Widział pan?

— Widziałem.

— Czy ona jest tu może u pana, w tym domu?

<sup>9</sup>fizjognomia (daw.) — twarz. [przypis edytorski]

<sup>10</sup>niedostawać (daw.) — brakować. [przypis edytorski]

<sup>11</sup>czczość — odczucie pustki i jałowości. [przypis edytorski]

— Co za przypuszczenie! Nie znam jej zupełnie. W tej chwili ujrzałem ją po raz pierwszy w życiu. Strzeż się pan tej kobiety!

Uśmiechnąłem się pobłaźliwie:

— Kocham już inną; mam narzeczoną.

— Mimo wszystko miej się przed nią na baczności! To niedobra kobieta!

— Nie jest mi zupełnie obcą. Spotkałem ją już parę razy.

I opowiedziałem mu o dziwnym zgrupowaniu ludzi na moście, nie tając obecności jego własnej osoby.

— Hm — szepnął, wysłuchawszy uważnie do końca — rzeczywiście byłem parę razy na przyczółku mostowym koło figury świętego i wyczuwałem niejasno jakieś wrogie prądy płynące nie wiadomo skąd. Hm... teraz rozumiem.

— Wyłaniają się powoli tajemnicze związki.

— Niewątpliwie. Drogi nasze zaczynają krzyżować się wzajemnie coraz częściej. Jakaś wyższa moc splata coraz zwarciej dotychczas rozbieżne tory naszych losów.

— Lecz co to było? Halucynacja?

— Nie. Ona w tej chwili myślała o tobie.

— Czy to wystarcza?

— Nie u każdego. U niej widocznie tak. Stąd wnoszę<sup>12</sup>, że kobieta ta musi posiadać ogromnie silną wolę.

— Więc uważasz tę wizję za rodzaj projekcji myśli?

— Nie wiem; może. Zresztą — dodał po namyśle — kto wie, czy ona rzeczywiście nie stała w owej chwili za nami?

Zadrzałem, odruchowo obracając się w stronę biblioteki:

— Czyżby coś podobnego było możliwym?

— Dlaczegoż by nie? Nasze myśli i wspomnienia lubią czasem przyoblekać się w ciało.

Świat pełen jest larw<sup>13</sup> i masek zrodzonych w ten sposób. Wałęsają się te strzępy jaźni oderwane od macierzystego łożyska i straszą jak upiory czas pewien, dopóki nie rozwieją się w przestrzeni lub nie ulegną absorpcji przez wiry silniejsze.

— Odsłaniasz przede mną nowe światy; piękne są i straszne zarazem jak marzenia obłąkańca.

Wierusz uśmiechnął się smutno:

— Niestety. Aż nazbyt często fosforyzują<sup>14</sup> blaskiem próchna.

Powstał i zbliżywszy się do pianina pod oknem, wziął parę molowych akordów.

— Przyjacielu — rzekł, nie odejmując palców od klawiatury — dziwnym zrządzeniem losu przyszedłeś dziś pod dach mój w godzinę dla mnie osobliwą. Tęsknota dni minionych spłynęła na mnie nieukojną falą i porywa z sobą w lata, co dawno już przebrzmiały. Przrzeknij, że będziesz spokojny, cokolwiek się zdarzy.

— Przrzekam — odpowiedziałem, przejęty do głębi tonem jego głosu. — Przrzekam, że nie ruszę się z tego miejsca.

Wtedy Andrzej uspokojony zaczął grać jakąś rozlewną jak morze, nabrzmiałą smutkiem fantazję. Wiała z niej nieutulona tęsknota wielkich przestrzeni, żal pustych, czarnych nocy, płacz doli zabłąkanej w stepie.

Grał jak pierwszorzędnym artysta. Jego zwykle łagodny, smutno uśmiechnięty profil stężał nagle i zaostrzył się, śmiertelna bladość wypełzła na policzki, oddech stał się krótki, świszczący; powieki, jakby znużone światłem, opadły ciężko, zakrywając oczy...

Grał, nie patrząc na klawisze. Może zasnął?

Nieokreślony lęk zaczął zakradać mi się do duszy; nie mogąc dłużej patrzeć na tę śmiertelną maskę, odwróciłem się ku oknu.

Było otwarte na ogród. Na dworze szalał jesienny wicher, miotając wściekle szkieletami drzew odartych z ostatnich już liści. Od czasu do czasu przy silniejszym ataku wpadały do wnętrza całe ich przygarście i słały się zżółkłe z szelestem na posadzce...

Zastłuchany w melodii Wierusza, utkwilem wzrok w czarny wykrój okna.

<sup>12</sup>wnosić (daw.) — wnioskować. [przypis edytorski]

<sup>13</sup>larwa (daw.) — maska a. zjawia. [przypis edytorski]

<sup>14</sup>fosforyzować — świecić w ciemności bladym światłem. [przypis edytorski]

Wtem z głębi ogrodu wyszedł wysoki, biały starzec i oparłszy się o framugę okna, przysłuchiwał się grze... Stłumiony okrzyk zamarł mi w piersi. Zimny pot sperlił mi czoło i z rozszerzonymi od przerażenia oczyma siedziałem jak przykuty do fotelu...

Po chwili widziadło, wyciągnąwszy ku Andrzejowi chudą, trzęsącą się rękę, jakby na znak pożegnania, wsiądko w mroki ogrodu...

Wierusz, jakby nie wyczuwając tego, co się działo poza nim, grał dalej. Spod palców jego wąskich, nerwowych wypłynęła teraz precudna kołysanka. Cicha a rzewna, brała w macierzyńskie dłonie czyjąś maleńką duszyczkę i pieszcząc tuliła do piersi:

— Ach, lulaj mi, lulaj, dziecino kochana — oczęta słodkie zmruż!... — Para przezroczych rąk, strojnych w pierścienie, wiotkich rąk kobiecych wysunęła się z ram okiennych i spocząwszy na głowie Andrzeja aktem błogosławieństwa, cofnęła się w przestrzeń nocy...

On grał dalej. Tylko postać jego, dotychczas sztywno wyprostowana, przygarbiła się i skurczyła w sobie, podając się<sup>15</sup> ku klawiaturze; na usta, zaciśnięte od wewnętrznej męki, wystąpiła piana...

Charakter melodii zmienił się. Kołysanka przeszła w czerwoną od krzyku krwi pieśń miłości. Bezbrzeżna, tryskająca gejzerami pasji namiętność rwała akordy, przewalając się lawiną dźwięków rozpasanych do szału...

Oparte o uszak, z odchyłoną wstecz dumną, tragicznie piękną głową, stało teraz tam, za oknem, wśród jęku jesiennej zamieci, widmo młodej kobiety. Na oczach jej smutnych, ciemnoorzechowych spoczęła cicha dłoń anioła rezygnacji; usta wąskie, usta pąku róży rozchyliły się w tęsknocie warg nieukozonej... Wtem wicher bólu przygiął ją ku ziemi; obsunęła się na parapet okna i wyciągnąwszy bezwładnie ramię, złożyła na nim głowę...

Nagle muzyka umilkła. Fantom rozwiął się gdzieś w czeluściach nocy...

Wyczerpany do ostatecznych granic, Wierusz upadł jak martwy na posadzkę. Podbiegłem ku niemu ze szklanką wody, lecz wkrótce przekonałem się, że cucenie tu na nic się nie przyda. Był cały sztywny jak kawałek drewna; należało uciec się do magnetycznych pociągnięć<sup>16</sup>. Na szczęście zabieg nie był mi obcy. Po kilku passach<sup>17</sup> członki<sup>18</sup> Andrzeja zaczęły odzyskiwać normalną giętkość, białka oczu wróciły do właściwego poziomu i wśród rześnego potu Wierusz obudził się.

— Dziękuję ci, Jerzy — szepnął ściskając mi rękę. — Proszę cię — dorzucił po pewnym czasie z głębokim westchnieniem — nie wspominaj nikomu o tym, co tu widziałeś tej nocy.

— Bądź spokojny — zapewniłem wspierając go ramieniem. — To nasza wspólna, święta tajemnica.

Gdy w pół godziny potem wracałem do domu, świeciło już na niebie i cicho gasły ostatnie już gwiazdy.

## MASKARADA

Owej środy, 29 maja br., nie zapomnę nigdy. Świetna maskarada w domu Lezańskich wyryła mi się w duszy niezatartymi śladami. Zwłaszcza jej epilog nad ranem...

Halszka miała na sobie śliczne błękitne domino<sup>19</sup>, w którym wyglądała jak wiosenny poranek. Ja wziąłem na się postać hiszpańskiego granda<sup>20</sup> i intrygowałem ludzi maską stylizowaną *à la* czarny charakter.

Tańce rozpoczęto dopiero po północy. Oczywiście przeważał *two-step* i *fox-trot*. Nie lubię tych tańców; gdzieś w stepie meksykańskim tańczone przez autentycznych *gauchos* i *cow-boyów* na tle podzwrotnikowej prerii, przy jarzącym się krwawo ognisku muszą sprawiać silne, bo stylowe wrażenie; w Europie na zwykłej, banalnej sali balowej rażą

<sup>15</sup> *podać się* (daw.) — wychylić się w określonym kierunku. [przypis edytorski]

<sup>16</sup> *magnetyczne pociągnięcia* — ruchy rąk służące wywołaniu hipnozy bądź wywieraniu wpływu na zahipnotyzowaną osobę. [przypis edytorski]

<sup>17</sup> *passy* — ruchy rąk służące wywołaniu hipnozy bądź wywieraniu wpływu na zahipnotyzowaną osobę. [przypis edytorski]

<sup>18</sup> *członki* (daw.) — kończyny. [przypis edytorski]

<sup>19</sup> *domino* — rodzaj płaszcza z kapturem. [przypis edytorski]

<sup>20</sup> *grand* — arystokrata hiszpański. [przypis edytorski]

prostactwem i... wyuzdaniem. Halszka wie o tym i zapewne dlatego ograniczyła swe tury do minimum. Kochana dziewczyna...

Koło drugiej zauważyłem po raz pierwszy w szeregach tańczących czarne, smukłe domino, starannie zamaskowane koronką. Wkrótce przyłączył się do niej doża wenecki i odtąd prawie nie odstępował na krok. Przy kadrylu, który tańczyłem z Halszką, nagle wyłoniła się tuż przed nami zagadkowa para.

— Czy możemy prosić o *vis-à-vis*<sup>21</sup>? — zabrzmiał dźwięczny, metaliczny głos czarnego domina.

— Z przyjemnością — wyręczyła mnie w odpowiedzi Halszka, oddając ukłon doży.

I stanęliśmy naprzeciw siebie w kolonie<sup>22</sup>. Podczas jednego *paszez*<sup>23</sup> drugiej figury wenecki dostojnik, mijając mnie, rzekł półgłosem:

— Pozdrawiają cię ludzie z mostu Św. Floriana, *señor bidalgo*<sup>24</sup>.

I przeszedł ku swojej damie, by wykonać z prawdziwie wielkopańskim wdziękiem *tour des mains*<sup>25</sup>.

Głos wydał mi się jakiś znajomy; gdzieś już raz w życiu z tym człowiekiem mówiłem, ale gdzie i kiedy, nie mogłem sobie przypomnieć.

Tymczasem wodzirej zarządził „zmianę pań” i znalazłem się u boku czarnego domina. Muszę przyznać, że tańczyła bajecznie. Smukła i gibka jak tuja, płynęła lekko jak sylfida<sup>26</sup>, podając nieco wstecz kształtną główkę. Widocznie taniec upajał ją, bo od czasu do czasu czułem nerwowe dreszcze, zbiegające wzdłuż jej obnażonych ramion, i namiętny ruch gorsu. Raz, nie wiem, przypadkiem czy umyślnie, skroń jej dotknęła mojej; wtedy palce jej zacisnęły się kurczowo na moim ramieniu i usłyszałem stłumione słowa ekskuzy:

— Przepraszam! — a po chwili: — *Diamine*<sup>27</sup>! Pan tak dobrze tańczy! Zdaje mi się, że płynęłabym tak z panem w wieczność.

Akcent słów brzmiał trochę obco. Byłażby cudzoziemką? Lecz w takim razie skąd się tu wzięła? Może to jaka mistyfikacja?

Chciałem już wprost zapytać ją o rozwiązanie zagadki, gdy wtem mijając jakąś parę spotkałem się z utkwionymi we mnie oczyma Halszki. Nie wiem, czy rzeczywiście, czy też mi się zdawało, była w nich cicha skarga. Spozrzęglszy, że na nią patrzę, uśmiechnęła się z przymusem i zwróciła się z jakąś uwagą do swego tancerza. Uczułem coś jakby wyrzut sumienia i podziękowawszy intrygującej mnie maseczce, odprowadziłem ją na miejsce.

— Już się pan zmęczył? — zapytała, odymając niechętnie usta. — A ja przypuszczałam, że kawalerowie z Kastylii mają więcej tanecznego animuszu.

— Prosiłem o najbliższy taniec moją narzeczoną — odpowiedziałem po prostu, składając jej ukłon. — Nie powinna na mnie czekać.

— Ach, tak! — zaśmiała się nerwowo. — Jest pan wzorowym narzeczonym! Nie przeszkadzam.

I poszła w taniec z jakimś jegomościem przebranym za ptasznika z Tyrolu.

Koło piątej nad ranem ochota zaczęła przygasać. Liczba tańczących stopniała do połowy. Gros<sup>28</sup> towarzystwa skupiło się w sąsiedniej salce, oświetlonej różowym światłem dwu żyrandoli.

Podano herbatę i poranne przekąski. Wciśnięte w ramiona foteli, sofek i kozetek postaci masek rysowały się tajemniczo w purpurowym półmroku pokoju. Z póź niedbałych wyglądało znużenie i taneczny przesył. Ktoś ziewał dyskretnie...

Tylko w lewym rogu salki panowało szczególne ożywienie. Grupa mężczyzn i kobiet otoczyła widocznie kogoś siedzącego przy stoliku i słuchała czegoś z zainteresowaniem.

Zaciekawiony podszedłem z Halszką opartą na moim ramieniu.

— Linia Saturna — usłyszeliśmy z wnętrza grupy dźwięczny głos czarnego domina — niedobrze wróży. Czekają panią w niedalekiej przyszłości zawody i niepowodzenia.

<sup>21</sup>*vis-à-vis* (fr.) — naprzeciwko; tu w znaczeniu figury tanecznej. [przypis edytorski]

<sup>22</sup>*kolon* — szereg (z fr. *colonne*). [przypis edytorski]

<sup>23</sup>*paszez* (fr.) — przejście od jednej figury tanecznej do drugiej. [przypis edytorski]

<sup>24</sup>*señor bidalgo* (hiszp.) — panie szlachcicu. [przypis edytorski]

<sup>25</sup>*tour des mains* (fr.) — nazwa figury tanecznej. [przypis edytorski]

<sup>26</sup>*sylfida* — żeński duch powietrza. [przypis edytorski]

<sup>27</sup>*diamine!* (wł.) — do licha! [przypis edytorski]

<sup>28</sup>*gros* — większość, większa część. [przypis edytorski]



Odpowiedział krótki, urwany śmiech kobiety.

— Horoskopy wcale nie zachęcające — odezwał się ktoś z przeciwnej strony.

Teraz ujrzałem zamaskowaną damę w sukni koloru „tango”<sup>29</sup>, z ręką odwróconą grzbietem ku płaszczyźnie stołu, przy którym siedziało czarne domino.

— Nic nie widzę — zauważyła po chwili wróżka, odrzucając niechętnie głowę. — Potrzebuję więcej światła.

Jakiś usłużny pan przyniósł trójramienny kandelabr z pianina i zaświecił.

— Pani dużo już przeszła — czytała z dłoni po chwilowej przerwie chiromantka<sup>30</sup>. — Przygoda w Lyonie zaciążyła fatalnie na całym jej życiu.

Kobieta wydała stłumiony okrzyk i szybko cofnęła rękę. W oczach jej, dziwnie świecących przez otwory maski, zapaliły się na sekundę błyskawice gniewu:

— Kim pani jesteś?!

Tamta, nie zmieniając pozycji w fotelu, odparła spokojnie:

— Wszyscy korzystamy tu z prawa masek. Proszę uszanować i moją. Zresztą nikt pani nie zmuszał do pokazywania ręki.

— Zupełnie słusznie — poparło ją parę głosów.

Dama w „tango” bez słowa przeszła do sali sąsiedniej i zniknęła w tłumie wirujących w takt walca.

Wtedy poczułem nieprzepartą chęć usłyszenia wróżby z ust tej niezwyklej kobiety. Lecz Halszka usiłowała mnie wstrzymać:

— Jerzyku, daj spokój, ja się takich rzeczy ogromnie boję. Może ci powiedziec coś złego, jak tamtej pani.

— Ależ Halko — uspakajam ją półgłosem — przecież to tylko zabawa — taka sobie salonowa rozrywka w antrakcie<sup>31</sup> między jednym turem<sup>32</sup> walca a drugim.

I przystąpiłem do chiromantki, wyciągając lewą dłoń:

— Może mnie z kolei zechce pani wywróżyć coś z ręki?

Drgnęła i żywo obróciła się ku mnie. Uczułem na sobie mocne spojrzenie jej oczu.

— Panu? — zapytała z wahaniem w głosie. — Wolałabym wstrzymać się od wróżby.

— Jerzy! — usłyszałem za sobą błagalny szept Halszki. — Sama ci odradza. Chodźmy stąd, Jerzy!

Słowa te, choć ciche, zdaje się dotarły do uszu wróżbiarki, wywołując skutek wprost przeciwny intencjom mej narzeczonej.

— Zresztą — rzekła, decydując się nagle — spróbuję coś wyczytać z pańskiej dłoni. Ponieważ podał mi pan rękę lewą, zaczniemy od odgadywania przeszłości i charakteru. U mężczyzny bowiem lewa ręka jest negatywną i rejestruje tylko to, co już minęło lub jeszcze trwa do chwili obecnej; u kobiety jest wprost przeciwnie. Cóż? Nie obawia się pan ewentualnych rewelacji?

— Ani trochę — odpowiedziałem ze sceptycznym uśmiechem.

— W takim razie zaczynamy... Ręka pańska przedstawia dość rzadki typ mieszany: jest to ręka artysty i myśliciela.

— *Ben toccato*<sup>33</sup>! — pochwalił doża, który nagle znalazł się, nie wiadomo jak, za moimi plecami.

— Proszę nie przeszkadzać! — upomniał go któryś z gości.

— Kształt palców i paznokci zdradza usposobienie nerwowe i łatwo pobudliwe. Jest pan chorobliwie ambitny i tęsknisz do sławy; poklask tłumu mile łechce twe wrażliwe ucho. Mimo to ma pan okresy, w których pogardzasz blichtrzem ziemskiego szczęścia, i wtedy zamykasz się w niebotycznej świątyni swych rozmyślań. Charakter ich mistyczny skłania się ku panteizmowi<sup>34</sup> i panpsychicznej<sup>35</sup> kontemplacji świata... Dzieckiem musiał pan być nadzwyczaj pobożny; ślady głębokiej wiary przetrwały do dnia dzisiejszego... Stosunek do przyrody, zrazu ścisły i serdeczny, później rozluźnił się nieco. Nic dziwnego; jest

<sup>29</sup>kolor „tango” — jaskrawy odcień pomarańczowego. [przypis edytorski]

<sup>30</sup>chiromantka — osoba wróżąca z linii papilarnych. [przypis edytorski]

<sup>31</sup>antrakt (fr.) — przerwa (dosł.: przerwa między aktami sztuki teatralnej). [przypis edytorski]

<sup>32</sup>tur — tu z fr.: runda. [przypis edytorski]

<sup>33</sup>ben toccato (wł.) — dobrze trafione. [przypis edytorski]

<sup>34</sup>panteizm — utożsamienie Boga z przyrodą. [przypis edytorski]

<sup>35</sup>panpsychiczny — oparty na przekonaniu, że obiekty przyrody nieożywionej posiadają duszę. [przypis edytorski]

pan wychowankiem miasta... Dzieciństwo miał pan „sielskie, anielskie” do dwunastego roku życia, tj. do śmierci ojca. W okresie młodzieńczym chorował pan długo i ciężko. O ile się nie mylę, przeszedł pan dwukrotnie operację. I gdyby nie dziwny przypadek, kto wie, czybyśmy dziś oglądali pana między nami. Wyleczył pana człowiek bez doktorskiego dyplomu...

Umilkła wyczerpana widocznie wysiłkiem duchowym; na czoło jej wystąpiły perły potu...

Byłem zdumiony. Wszystko, co powiedziała, było prawdą. Skąd ta kobieta знаła tak dokładnie pewne szczegóły z mego życia? Tak niechętnie dzielę się nimi z ludźmi, że wydaje mi się wprost wykluczonym, by mogła je pozierać u mych znajomych... Charakterystyka mojej osobowości była wprost świetną!

— Przejdziemy do ręki prawej — przerwała ogólne milczenie niepewnym trochę, jakby od nagłego wzruszenia, głosem. — Ta u mężczyzny jest pozytywną i wróży przyszłość.

Z pewnym niepokojem podałem jej prawą dłoń. Ktoś szarpnął mnie silnie za rękaw. Odwróciłem się i spotkałem błagalne spojrzenie Halszki:

— Dość tej zabawy, Jur! Proszę cię, nie pytaj o więcej!

— Za późno — odpowiedziałem szeptem — nie wypada mi już teraz cofać się.

— Linia życia — zaczęła wróżbiarka, śledząc uważnie rysunek mej dłoni — ma bieg szczególny.

I podnosząc ku mnie swą zagadkową, pod koronką maski ukrytą twarz, dodała dobitnie:

— Zrządzeniem wszechwładnego losu zbliżył się pan ku punktowi węzłowemu dwu przeciwnych sobie prądów; w chwili obecnej stoisz na płaszczyźnie wrogich sobie śmiertelnie wpływów. Jesteś jak wędrowiec na rozstaju dróg. Od decyzji pańskiej dużo zależy. Może czyjeś życie nawet?... A tu wije się pięknym, wyraźnym szlakiem „linia Księżycy”, zwana też „mleczną drogą”; zapowiada liczne podróże na lądzie i morzu; dalekie Południe uśmiecha się panu: widzę dużo bujnych egzotycznych kwiatów i złoty piasek pustyni. Lecz linia ta zwykle zależy od poprzedniej; zdarzenia, które nam przepowiada, zawarunkowane są drogą, którą pan obierze pod wpływem jednego z wymienionych przeze mnie prądów... A oto „linia Fortuny”, kapryśna, zwodnicza linia między „wzgórkiem Jowisza” a „wzniesieniem Marsa”. Ma pan wielkie powodzenie u kobiet i łatwo zdobywasz przyjaźń u mężczyzn. Lecz strzeż się człowieka o siwych włosach! Falszywy to przyjaciel!...

Los

Przeciągły, sardoniczny śmiech był odpowiedzią na ostatnią przestrożę. Obejrzałem się w kierunku, skąd zabrzmiał, lecz ujrzałem przed sobą same poważne, skupione twarze ludzi śledzących z zajęciem przebieg wróżby.

Wróg

— Nie ufaj też pięknej jasnowłosej osobie, która chwilowo zdołała cię opętać.

Tu głos jej załamał się na chwilę, a ręka, którą oparła na przegubie mojej, zaczęła drgać w nerwowym ataku. Nagle powstała i zwracając się wprost ku mnie, rzekła mocnym, przedziwnie wibrującym głosem:

— Szczęście, prawdziwe szczęście, rozkosz i bogactwo przyniesie panu z sobą *inna* kobieta. Dzień jej na horyzoncie pańskiego życia już zaświtał. *Tamta* nigdy nie zostanie twoją żoną.

Ostatnie słowa wróżby zmieszały się z okrzykiem Halszki. Błada jak płótno obsunęła się bez pamięci w moje ramiona.

— Wody! — zawołałem, rozglądając się bezradnie wokoło.

— Mamy lepszy środek — odezwał się tuż przy mnie spokojny głos doży. — Niezawodny.

I przytknął do nozdrzy omdlałej flakonik z solami. Niemał równocześnie Halszka otworzyła oczy i wyrzucając z piersi głęboki oddech, uśmiechnęła się przecudnie:

— Gdzie ta kobieta? — zapytała rozglądając się z trwogą.

— Proszę się uspokoić — odpowiedział doża, pomagając mi wyprowadzić ją z pokoju do buduaru dla pań. — Już jej tu nie ma. Wśród zamieszania, które wywołała swym nietaktownym finałem, wymknęła się z domu... Awanturnica! — dokończył ciszej, przez zęby.

U wejścia do gotowalni zatrzymaliśmy się. Halszka zniknęła za kotarą, ja z dożą skierowałem kroki do szatni dla mężczyzn: był czas najwyższy wracać do domu. Po drodze dziękowałem memu towarzyszowi.

— Komu mam zawdzięczać pomoc i okazaną nam sympatię? — zapytałem zatrzymując się pod arkadą przedsionka. — Moje imię: Jerzy Drzewiecki.

W odpowiedzi doża zdjął maskę, wyciągając równocześnie przyjaźnie rękę.

— Więc to ty, Andrzeju?! — zawołałem zdziwiony, poznając zamyśloną twarz Wierusza.

— Tak, to ja. Gra rozpoczęta. Cokolwiek się zdarzy, pamiętaj o tym, że jest na świecie ktoś ci z duszy życzliwy, ktoś, kto interesuje się tobą żywiej, niż przypuszczasz. Do widzenia, Jerzy!

I uściskawszy mi rękę, szybko zbiegł schodami ku wyjściu. Po chwili pomagałem już Halszce przy wsiadaniu wraz z matką do karetki.

— Do widzenia, Jur! — rzuciła na pożegnanie, wyciągając ku mnie swą małą, drobną rączkę. — Do widzenia w sobotę! Pamiętaj!

— Do widzenia, najdroższa!

Powóz ruszył, zanurzając się w poranną mgłę.

Wtem w świetle latarni, dogorywającej przed bramą, stanęła przede mną smukła, szczerlnie w płaszcz otulona postać kobiety. Poznałem chiromantkę. Chwyliła mnie za ramię i ściągnawszy maskę z twarzy, szepnęła:

— I ja oczekuję w sobotę. Kocham pana i dlatego musisz być moim. Oto mój adres.

I wcisnąwszy mi w rękę bilet wizytowy, przepadła w półmroku zarania.

Stałem długo jak wryty, nie mogąc uczynić kroku naprzód. W uszach brzmiały wciąż słowa wróżbiarki jak nieprzeparty rozkaz, gdy palce ścisnęły kurczowo białą, sztywną kartę. Powoli, prawie bezwiednie podniosłem bilet do poziomu oczu i odczytałem:

— Kama Bronicz. Parkowa 6.

Kobieta z mostu Św. Floriana mieszkała w domu Wierusza!...

## VIVARTHA<sup>36</sup>

W męce przeszedł mi czwartek i piątek. Te dwa dni wpłynęły decydująco na długi okres mego życia, zarysowują fatalnie plan przyszłych zdarzeń. Gdy po bezsennej nocy z piątku na sobotę wstałem wcześniej nad ranem i wyjrzałem przez okno na senny jeszcze świat, uczulem w całej pełni, jak jestem wewnętrznie rozbity; liść klonu chwiejący się za szybą na wietrze był odporniejszym na wpływy środowisk, niż byłem nim ja.

Mimo to — rzecz dziwna — czulem się w swej słabości szczęśliwym; dobrze mi było z tym słodkim bezwładem uczuć i woli. Z hedonistyczną lekkomyślnością zepchnąłem odpowiedzialność za wszystko na czyjeś barki i dałem unosić się nieznanemu prądowi, którego zbliżanie się odczuwałem coraz wyraźniej z każdą nadchodzącą godziną. *Après moi le déluge!*<sup>37</sup>...

O jedenastej rano przebrałem się i poszedłem do Grodzieńskich. Przy powitaniu wyczytałem w jej oczach utajoną obawę i niepewność. Mój śmiech swobodny, beztrudny rozproszył wszystko; wkrótce swawoliła jak dzieciak.

Po obiedzie, koło trzeciej, przyszła kolej na *garden party*<sup>38</sup>. Pozostawiono nas samych w olbrzymim, dziewiczym parku rodziny Grodzieńskich. Park ten, pół ogród, pół las, jest unikatem w swoim rodzaju. Podobno niegdyś stanowił część Dobieckiej Puszczy, która rozciągając się na przestrzeni kilkunastu mil, kryła w swym wnętrzu burzliwą, głębokim jarem przebierającą się Drucz. Puszcę wykarczowano — pozostała rzeka i park Grodzieńskich, szczątek minionej chwały boru.

Rodzina Halszki z pietyzmem usiłowała podtrzymać jego pierwotny charakter. To też park wyjątkowo rozległy sprawiał istotnie raczej wrażenie lasu. Tylko drobną jego część, przytykającą bezpośrednio do dworku, poddano wpływowi ogrodniczej kultury —

<sup>36</sup>*Vivarta* — słowo hinduskie, oznacza wirowy proces przejawiania się Boga we wszechświecie; *vivarta* = lacińskiemu *vortex* (lub: *vertex*) — wir. [przypis autorski]

<sup>37</sup>*après moi le déluge* (fr.) — po mnie choćby potop; przen.: po mojej śmierci niech się dzieje, co chce. [przypis edytorski]

<sup>38</sup>*garden party* (ang.) — przyjęcie w ogrodzie. [przypis edytorski]

ogromna reszta, od lat nie tykana ostrzem nożyc, nie kaleczona strychnulcem<sup>39</sup> sekatora, żyła w stanie dzikim bujnie i swobodnie. Nikt nie peł zarosłych trawą ścieżek, nikt nie zbierał nagromadzonej stosami leżaniny, chrustu, nie usuwał obalonych przez jesienne burze pni. Toteż dostęp do niektórych miejsc był niemożliwy. Potężne, z wykrotów drzewnych powstałe zasieki, niezdojone, drapieżnie jurzące<sup>40</sup> się zastrzały broniły zazdrośnie parkowych komyszy. Dlatego park Grodzieńskich był od lat przytułkiem dla wszelkiego rodzaju dzikiej zwierzyny, która nie płoszona przez dworskie polowania, chroniła się chętnie pod jego opiekuńcze splewy.

Najpiękniejszą była partia południowo-zachodnia, gdzie park, staczając się w łagodnej pochylni ku rzece, dotykał wydłużonym klinem zakrętu Druczy. Tam skierowaliśmy z Halszką swe kroki. Ujawszy się za ręce, jak para roześmianych pogodą nieba dzieci, szliśmy starą, wysłaną warstwami zeschniętych liści drożyną. Nad nami sklepił się strop poplątanych konarów, szumiał szeroki rozhovor<sup>41</sup> dębów.

Włożyła mi rękę pod ramię i opierając głowę na piersi, mówiła:

— Jak tu dobrze, Jur, nieprawdaż? Wszystko tu takie czcigodne, uroczyste...

— Dusza starodrzewu — odpowiedziałem, chłonąc błękit jej oczu. — Twój ojciec, Halszko, musi bardzo kochać przyrodę?

— O tak — uwielbia ją jak poganin. Nieraz spędza całe dni w najgłębszych ostępach lasu. Po każdej takiej przechadzce jest dziwnie zamyślony i nie zwraca uwagi na otoczenie.

— Las działa jak narkotyk; można się upić jego duszą.

Umilkliśmy i czas pewien słychać było tylko szelest liści roztrzucanych przez nasze stopy. Ona pierwsza przerwała milczenie:

— Ojciec jest przy tym człowiekiem nadzwyczaj przesądnym.

— Dotychczas nie zauważyłem tego rysu.

— Bo się z tym kryje nawet przed nami. Zdaje mi się, że odziedziczyłam po nim podobne skłonności.

— Ty, Halszko?

— Dziś właśnie rano, zanim przyszedłeś, miałam sposobność przekonać się o tym.

— Czy mogę dowiedzieć się bliższych szczegółów?

— Owszem. Odczuwam potrzebę zwierzenia ci się nawet z najbliższych przeżyć.

Spojrzałam na nią z wdzięcznością.

— Jestem trochę znużona przechadzką. Usiądźmy na chwilę tutaj, na mchu.

— Doskonale! — odparłem, rozścielając jej miękkie, szkockie szale, który niosłem przewieszony przez ramię.

— A zatem — zaczęła — dziś rano, na godzinę przed twoim przybyciem, siedziałam sama na werandzie, kończąc poranną toaletę. Wtem na stopniach od ogrodu ujrzałam jakąś żebraczkę, która z wyciągniętą ręką prosiła o wsparcie. Wzrok starej nie podobał mi się: w czarnych, namiętych oczach czaiło się coś złośliwego; na ustach zwiędłych i sinych błąkał się zagadkowy uśmiech.

By się jej pozbyć jak najprędzej, kazałam jej zaczekać na schodach, obiecując wynieść za chwilę jałmużnę. Na nieszczęście nie mogłam znaleźć portmonetki, którą przez roztargnienie położyłam wczoraj na niewłaściwym miejscu. Nareszcie udało mi się ją odszukać. Odliczywszy parę sztuk monety, wróciłam, by wręczyć je żebraczce. Lecz zamiast na stopniach tarasu zastałam ją w obrębie werandy, szukającą czegoś na taflach posadzki, tuż koło krzesła, które przed chwilą zajmowałam. Spozstrzegłszy mnie, szybko zgarnęła coś ręką do czerwonej chusteczki, zawiązała skwapliwie na węzeł i rzekła uśmiechając się złośliwie:

— Dziękuję paniencie za trud i dobre chęci. Zdobyłam tu rzecz stokroć cenniejszą dla mnie od złota. *Adieu*<sup>42</sup>, piękna panno! *Adieu!*... A w przyszłości prędzej usuwaj z podłogi ślady, które pozostawia po sobie poranne *manicure*, jeśli nie chcesz, by coś z twych różnych paluszków nie dostało się w obce ręce.

I z cichym, zjadliwym chichotem zbiegłszy po stopniach, zniknęła za bramą wchodową.

<sup>39</sup>strychnulec (daw.) — deszczulka do wygładzania cegieł, tu przen.: coś, co wyrównuje. [przypis edytorski]

<sup>40</sup>jurzyć się (daw.) — gniewać się. [przypis edytorski]

<sup>41</sup>rozhovor (rus.) — rozmowa. [przypis edytorski]

<sup>42</sup>adieu (fr.) — żegnaj (dosł.: z Bogiem). [przypis edytorski]

— Szczególna przygoda... Więc pieniędzy nie przyjęła?  
— Nie. Mam wrażenie, że prośba o jałmużnę była tylko pretekstem do wnięcia się na werandę.

— Hm... tak by wyglądało.

— Po jej odejściu uczułam nieokreślony lęk, którego nie mogę opanować dotychczas.

— Ależ, Halszko, jesteś przeczulona! Lepiej nie myśleć o tak błahym zdarzeniu.

— Boję się czegoś tej dziadówki. Babka moja mówiła nieraz, że ucięte włosy, paznokcie lub wypadły ząb powinno się natychmiast palić, by nie dostały się do cudzych, wrogich rąk.

— Cha, cha, cha! I ja coś o tym słyszałem. Ale to przecież śmieszny zabobon, Halszko. Doprawdy, nie pojmuję, jak możesz przywiązywać do czegoś podobnego jakąkolwiek wagę.

— A jednak ta baba *zabrała z sobą coś ze mnie*. Wiesz, Jur, czasem zdaje mi się, że wskutek tego powstał między mną a tą czarownicą tajemniczy, choć niewidzialny *związek*.

— Przesadzasz. Pod wpływem chwilowego rozdrażnienia wyolbrzymiasz rzeczy nikłe i niegodne twej uwagi... Brr... Chłodno tu jakoś... Chodźmy na słońce!

Westchnęła z uczuciem ulgi i podała mi ramię:

— Masz słuszność. Jak ty umiesz zawsze uspokoić mnie, Jur!

Przytuliłem ją do siebie i tak szliśmy czas jakiś... Las przerzedził się i spoza trzonów drzewnych zamigotało ciche, drzemiące jezioro. Nad brzegami zarosłymi sitowiem unosiły się roje błękitnoskrzydłych ważek, pluskotały kurki wodne, prury wiosenną przestrzeń nieba lotem na wskos<sup>43</sup> kszuki. Z wody gęstej, ustalej szedł w górę odpar i przesłaniał mglistym woalem ospałą powierzchnię. Parę brzoź płaczących nachyliło się w zadumie nad topielą, zarzucając w głębię smutek swych warkoczy. Daleko od brzegu, gdzieś na środku jeziorzanej gładzi, snuł się jaśniejszą wstęgą ścieg wartu — odpływu...

Wsiadliśmy do łódki ukrytej wśród brązowych pałek rokitnicy. Odwiązałem łańcuch i wparłszy wiosło o ląd, odbiłem się mocno. Zabulgotała wytrącona z drzemki popołudniowej woda, zawirowały osadzie i męty. Łódź, otarłszy się burtami o kolana rogoży<sup>44</sup>, roztrąciła kożuchy pleśni i wypłynęła na środek. Sterowałem ku skalistej wysepce w południowym kącie jeziora. Ten granitowy wykwit gruntu był zagadką. Skąd się tu wzięły skały pierwotne? Okolice płaska, typowo równinna, nie usprawiedliwiała w niczym tej anomalii. Szara, poszarpana ściana wystrzelała groźnie ponad wierzchołki najwyższych drzew parkowych.

Gdy podpłynęliśmy na odległość kilku metrów do wyspy, zerwała się z gniazd po wnękach rzesza jaskółek i zatoczywszy nad nami parę kręgów, wróciła do skalnych kryjówek. Okrążyliśmy wyspę, szukając miejsca do wylądowania. Strome, urwiste brzegi, obszyte na głucho krzami<sup>45</sup> głogu i jeżyny, strzegły zewsząd wejść i dostępów. Tylko od strony południowej, tam, gdzie jezioro zwężało się gwałtownie, by kilkanaście metrów dalej runąć po zboczach parku potężnym wodospadem do Druczy, zauważyłem za występem skały małą przystań. Ostrożnie, trzymając się brzegu, by nie wpaść w ramiona silnego już w tym miejscu prądu, opłynąłem cypel i zawiąłem szczęśliwie do zatoczki. Wyrzuciwszy z dna łódki łańcuch, okręciłem go mocno parę razy dookoła pnia przybrzeżnej sosny-karlicy, po czym zwróciłem się do Halszki, która w milczeniu śledziła wart<sup>46</sup> wody:

— Wsiadamy?

— Koniecznie? Czy nie lepiej obserwować stąd, z łódki? Widok wspaniały!

— To prawda. Można podziwiać i z tego ruchomego pomostu.

Zająłem ostatnią ławkę przy dziobie, gdy ona, usiadłszy na szalu rozpostartym na dnie łódki, oparła się plecami o moje kolana.

— Lubię ten szum, Jerzy.

Odchyliła ku mnie głowę.

— Dobrze ci tutaj?

I pochyliłem się ku jej słodkiej twarzy.

<sup>43</sup>na wskos — dziś popr.: na skos. [przypis edytorski]

<sup>44</sup>rogoża — tu: palki tataraku. [przypis edytorski]

<sup>45</sup>kierz (reg.) — krzak. [przypis edytorski]

<sup>46</sup>wart (daw.) — nurt. [przypis edytorski]

— Jak w zaczarowanym śnie — odparła, podając mi usta. I znów słychać było tylko huk wodogrzmotu... Spad był potężny: ciche, rozlane powyżej wysepki szeroko wody jeziora nagle ujęte w kleszcze brzegów spadały przez wąską skalistą szyję jakich 200 metrów w dół ku poziomowi rzeki. Stąd, z wysokości wysepki, widać było tylko chmurę pian i wrzątek wodnej ciekliny, obrzucającej białymi płatami wiecznie mokre ściany wąwozu. A tam, w dole, gdzie rozbita na miazgę woda przeciskała się pomiędzy pylonami czarnych, strażujących raf, widniała w rozstępie wąwozowego wylotu błękitna, spokojna już wstęga Druczy.

Godzina była trzecia, nasycona słońcem popołudnia, rozleniwiająco senna. Z nagrzaną ziemi unosiły się ledwo dostrzegalne fale powietrza, drgając w przestworzu niby kosmiczny eter. Od łądu szły zapachy ziół i leśnych kwiatów, z wody bił surowy, rybą i szwarem zaprawiony obrzask. O łódkę uderzały co chwila wilgotne płetwy fal, pluskocząc po burtach rytmem pieszczoty, rozkręcał się z cichym zgrzytem, to znów przypadał gnuśnie do brzegu żelazny wąż łańcucha...

— Halszko! Co za dziwna godzina!

Odpowiedział mi jej równy, głęboki oddech. Usnęła jak dziecko. Z opartej na mych kolanach z ufnością głowy zesunęła się parą długich płowych warkoczy i spłynęła na dno łodzi.

Ostrożnie, by jej nie obudzić, podniosłem jeden do ust i całowałem długo, tuląc namiętnie do twarzy. Ciepłe, wonne włosy dziewczyny...

Wtem, podniósłszy oczy na rzekę, ujrzałem w przerwie pomiędzy skałami płynące powoli czółno z siostrami z klasztoru klarysek. Dwie pracowały przy wiosłach, jedna przy sterze, inne z rękoma wplecionymi w różańce błędziły zamyślnym spojrzeniem po wodzie. W chwili, gdy łódź mijala ujście jeziora, zasuważąc się już swym dziobem za skałę, jedna z zakonnicek, ocknąwszy się z zadumy, zwróciła twarz w naszą stronę. Przez sekundę oczy jej spoczęły na nas z wyrazem głębokiego smutku, po czym wyciągnęła ku nam ręce splecione w czarne korale. W tej chwili czółno pchnięte silniejszym uderzeniem wiosła znikło za skalnym zrębem, unosząc z sobą postaci mniszek. Spojrzałem zaniepokojony na Halszkę. Twarz jej cicha, półotwarte usta i oczy łagodnie przymknięte upewniły mnie, że śpi spokojnie jak dziecko. Nic nie widziała.

Nagle ramię jej, dotychczas bezwładnie opuszczone wzdłuż ciała, poruszyło się; przesłizne rzęsy zadrgały nerwowo parę razy i podniosła powieki.

— Zasnęłam? — zapytała rumieniąc się jak jutrenka.

— Na krótką chwilę — odpowiedziałem pieszcząc pukle<sup>47</sup> jej włosów na skroni. — Tylko na bardzo krótką chwilkę.

— Miałam taki dziwny sen...

— Musiał być chyba przyjemny, bo przed samym przebudzeniem uśmiechnęłaś się.

— Nie wiem, jak go sobie tłumaczyć... Szłam jakąś łąką pełną czerwonych maków, szłam powoli, to strącając parasolką purpurowe głowy kwiatów, to biorąc je do bukietu przy piersi... Na mur, który otaczał łąkę, padał cień mój głęboki i soczysty, bo było południe... W pewnej chwili ujrzałam naprzeciw siebie postać siostry zakonnej. Szła ku mnie. Twarz pośpiesnie słodką pochyliła ku ziemi, w palcach przesuwiała korale różańca. Stanąwszy przy mnie, podniosła ciemne, przejmujące do głębi oczy i ujmując mnie pod ramię, rzekła cicho:

— Nareszcie przyszedłaś. Czekałam na ciebie dość długo, siostró. Pójdź ze mną! Będzie nam dobrze z sobą.

I zawróciwszy mnie z drogi, poprowadziła w stronę wprost przeciwną tej, którą iść zamierałam. Przed nami w perspektywie słonecznej dali zarysował się średniowieczny klasztor... Obudziłam się...

— Szczególnie!...

— Tak mi czegoś smutno, Jur — poskarżyła się.

Milcząc, spuściłem łódkę z łańcucha. W pół godziny potem wstępowaliśmy na stopnie tarasu, na którym oczekiwali nas już zaniepokojeni trochę naszą długą nieobecnością starzy Grodzieńscy.

<sup>47</sup>pukiel (daw.) — lok. [przypis edytorski]

W czasie podwieczorku mówiliśmy mało. Halszka była zamyślona i smutna, ja dziwnie podniecony i nieswój. Co chwila spoglądałem na zegarek, zdenerwowany posuwaniem się wskazówek, jakby szybszym niż zwyczajnie. Koło piątej, nie mogąc przewyciężyć wewnętrzznego przymusu, wstałem w ciągu rozmowy i pożegnałem się.

— Pan odchodzi dziś tak wcześnie? — zapytała pani Grodzieńska, patrząc na Halszkę, w której twarzy wyczytałem niemy wyrzut.

— Muszę — tłumaczyłem się niezgrabnie. — Mam posiedzenie w Związku o wpół do szóstej, a stąd do lokalu dość daleko.

W przedsiönku Halszka chwyciła mnie za rękę, przyciskając ją mocno do serca:

— Jur — błagała głosem drżącym, przez łzy — nie odchodź ode mnie w tej chwili! Tylko nie teraz! Mam jakieś złe przeczucia.

— Nie mogę. Muszę tam być dzisiaj koniecznie. Jutro będę u was znowu. Nie bądźże dzieckiem, Halko!

I szybko zbiegłem po schodach. Nieubłagana wola kierowała mnie w stronę Parkowej. Wskoczyłem do przejeżdżającego tramwaju i po kwadransie znalazłem się u wylotu znanej mi dobrze ulicy. Teraz szedłem powoli, umyślnie zwolnwszy kroku, by się wewnętrznie opanować.

— Numer 6! — powtarzałem w myśli, jakby w obawie, żeby nie zapomnieć. — Numer 6!

— Ależ to willa Wierusza! — uświadomiłem sobie, jakby budząc się z ciężkiego uśpienia. — Może to jego kochanka?

Ogarnęła mnie wesołość.

— Kama Bronicz kochanką Andrzeja! Cha, cha, cha! Kapitalny pomysł!

Lecz mimo wszystko bilet wskazywał ten adres.

— Dlaczego on kryje się z tym przede mną? Byłem przecież u niego już tyle razy i nigdy mi o tym nic nie wspominał. Przeciwnie, zdaje się być dla niej wrogo usposobionym.

Uczulem coś w rodzaju niechęci do przyjaciela.

— Siwy Don Juan! — mruknąłem przez zęby. — Stary hipokryta!

Stałem przed willą.

— Nr 6 — odczytałem półgłosem na tabliczce bramy. — Nr 6. No, tak — to przecież tutaj. Nie ma cienia wątpliwości...

Drzwi w siatce były uchylone. Wszedłem na ścieżkę ogrodową. Wyłoniło się pytanie:

— Co teraz? Dokąd zwrócić się? Jeśli pójdę przez werandę, spotkam się oko w oko z nim, jeśli wejściem z tyłu, natychmiast zawiadomi go sługa. W ogóle, gdzie właściwie ona mieszka? Rozkład domu i ubikacji<sup>48</sup> znam przecież na wylot. Miałaby istnieć jeszcze jakiś zamaskowany zręcznie pokój, o którym dotychczas nic nie wiedziałem? A w takim razie kto mnie tam zaprowadzi?

Wszedłem do sieni wejściem tylnym i nagle zdumiony zatrzymałem się w progu.

Przedemną rozciągał się w półmrocznej amfiladzie kolumn korynckich krużganek.

— Gdzie jestem? — usłyszałem pytanie, rzucone między marmurowe trzony. — Gdzie jestem?!

Głos mój brzmiał obco, jakby nie z mojej piersi. Gdzie się podziła ta wąska, płomykiem gazu zwykle rozświetlona sień, którą mnie tyle razy wyprowadzał? Gdzie się podziła troje drzwi wychodzących na tę sień?

Przetarłem ręką oczy, by przekonać się, że nie śnię. Gdzieś pod stropem rozbłysnęła łagodnym światłem grecka lampa; od kolumn padły na stiukową posadzkę cienie, w górze, na głowicach rozkwitły liście akantu. Spłoszony półmrok skurczył się, zmalął i przykucnął w głębi kamiennej alei...

Wtem pomiędzy filarami ujrzalem Wierusza. Szedł odwrócony ode mnie profilem, sztywny, z oczyma zatopionymi w przestrzeń, przed siebie, jak lunatyk... Podeszedłem, by doń przemówić, gdy coś mnie w nim uderzyło: Andrzej nie szedł, lecz *plynął w powietrzu*. I nagle w moich oczach rozwiął się na tle jednej z kolumn.

— Andrzeju! — krzyknąłem, opasując ramieniem gładki, obły trzon. — Andrzeju, co to znaczy?!

<sup>48</sup>ubikacja — tu: osobne pomieszczenie. [przypis edytorski]

Odpowiedziało mi echo dziwnie zniekształcone...

Odwinąłem się od kolumny bezradny; okrutna samotność wkradła się do serca i rozpanoszyła wszechwładnie. Na chybił trafił zacząłem iść w jakimś kierunku, aż dotarłem do jakichś schodów, pnących się krętą linią do góry. Środkiem stopni spływała ku mnie krwawą strugą czerwień kobierca.

Wejście na piętro? — pomyślałem, wpatrując się w twarz Merkurego, podtrzymującego posochem żyrandol u stóp klatki schodowej. — Tu nigdy przedtem schodów nie było! Dom jest przecież parterowy!

— Tędy na górę — zapraszała gościnnie wyciągnięta ręka bożka.

Więc poszedłem na górę. Na piętrze, tuż naprzeciw schodów, zastałem szeroko rozwarte drzwi od pokoju.

Wszedłem. W głębi, pochylona nad naczyniem kształtu czary, stała Kama, ściskając w podniesionej ręce jedwabne lasso. Usta jej wyrzucały słowa ciemne dla mnie i niezrozumiałe.

Podniosła głowę. Para oczu fanatycznych, oczu pantery uderzyła mnie, paraliżując wolę.

— Nareszcie! — usłyszałem głos jej idący skądś, z nieskończonej dali i uczulem, jak zęby jej wgryzają się w moje wargi.

— Tyś mój! — szeptała oplątując się dookoła mnie skrętem bluszcza. — Teraz tyś już mój! Kochasz mnie?

— Kocham — odpowiedziałem spętany czarem jej namiętności. — Jakżeś piękna dziś, Kamo!

I piękną była w istocie. Z obcisłej, szafranowożółtej tuniki w czarne tulipany wykwitła jej drobna, kształtna głowa w otoku włosów koloru miedzi, niby płomienna orchidea. Twarz owalną, bladą, z siatką lazurowych żyłek na skroniach przepalał żar oczu o barwie szafiru... Rzuciła się na sofę lubieżnie niedbała, leniwa, nęcąca.

— Chodź do mnie, Jerzy! — wezwała kusząco.

Usiadłem przy niej, pojąc oczy harmonią jej ruchów. Wdzięk ich był nieporównany. Gibkie, opięte w obcisłą suknię jej ciało wiło się przede mną w nieuchwytnych, wciąż zmieniających się liniach. Mimo woli nasunęło się szczególne porównanie.

— Kamo! Wyglądasz w tej chwili jak prześliczna złota jaszczurka, wygrzewająca się w skwarze słońca.

Porwała się z sofy jak pod razem bicza; w cudnych, aksamitnych oczach zapełgotwały żagwie gniewu:

— Jak śmiesz?!

— Ależ, Kamo, czy cię to obraża? Przyszło mi tak do głowy ni stąd, ni zowąd.

— Nie lubię podobnych porównań — odpowiedziała cierpko, wracając do poprzedniej pozycji.

— Przepraszam cię, Kamo.

Przyciągnęła mnie niemym ruchem ramion ku sobie. Uczulem zawrót głowy i dreszcz rozkoszy. Gdzieś, w wizyjnej oddali wyłoniła się twarz Halszki w męce błękitnych oczu — lecz zasłonił ją zaraz purpurowy płaszcz namiętności. W uściskach moich pieściłem młode, pachnące ciało, rozszalałe wargi moje piły słodycz dziewiczych, stromych piersi, a ręce zanurzały się w miedziany bugaj jej włosów, przesuwając przez palce sypkie, bezcenne ich złoto...

Wtem usta moje, błądzące po jej biodrach, natrafiły na przeszkodę: szeroka, czarna szarfa zakrywała część ciała między lewą pachwiną a żebrem.

— Zrzuć tę przepaskę, Kamo! Niechaj nie pozostanie ani jedna cząsteczka twego ciała, której by nie dotknęły wargi moje!

Przycisnęła mocno dłońią szarfę i rzekła stanowczo:

— Nie wolno.

— Dlaczego?

Zaśmiała się przekornie:

— Nie należy być zbyt ciekawym. Może kiedyś, później, gdy się z sobą bardziej zżyjemy, wszystko ci wytłumaczę. Zresztą czy ci tak bardzo na tym zależy? Czyż mnie i tak całej nie posiadasz?



I zaczęła wodzić ręką po mej piersi.

— Masz skórę delikatną i białą jak u młodej dziewczyny. Czy zmywasz się czasem mlekiem?

— Co za przypuszczenie! To trochę za kosztowny kosmetyk.

Nie odpowiedziała. Tylko oddech jej stał się szybszym i piersi zaczęły silnie falować. Czulem, jak dłoń jej spływa po moim ciele coraz niżej, jak jej białe, wąskie palce sycą się czarem dotknięcia.

— Kamo! — zawołałem w pewnej chwili. — Przy tobie można oszaleć z rozkoszy!

Czas płynął. Koło siódmej wieczorem, gdy pokój rozświetliły blaski ośmioramiennego pająka, oboje byliśmy wyczerpani pieśczętą. Więc oparliśmy się plecyma o kobierzec nad sofą i splótniśmy się za ręce, patrzyliśmy na siebie przez mgłę upojenia.

— Co to za medalion? — zapytała nagle, sięgając ręką ku mej szyi.

— Pamiątka — odparłem niechętnie, otrząsając się z miłosnego odrętwienia.

Położyła go sobie na dłoni i otworzyła wieczko.

— Zostaw to, Kamo, proszę cię.

— A! Włosy! Jasnopopielate włosy!

Wyrwałem jej z rąk przedmiot.

— Tak ci drogie? — zapytała z przekąsem. — To pewnie *jej* włosy, co? Tej pięknej panny, z którą byłeś na maskaradzie?

— Tak — to włosy z warkocza mej narzeczonej.

— Cha, cha, cha! Co za sentyment!

— Przestań, Kamo!

— A to dlaczego? Któż mi zabroni?

— Proszę cię — dodałem łagodniej — nie mówmy teraz o tym. Dobrze?

— Nie cierpię jej! — szepnęła mściwie.

Mimo woli zadrzałem.

— Co robiłaś w chwili, gdy wchodziłem do tego pokoju? — zapytałem, by sprowadzić rozmowę na inny temat.

— Czekałam na ciebie.

— Patrzyłaś w głąb tej czary — rzekłem, zbliżając się do stołu, na którym w środku zakreślonego kredą koła stał szczeroloty puchar. — Co to za napój? Wino?

— Woda. Czysta woda, tylko w stanie namagnetyzowania.

— A te znaki tu, na obwodzie koła?

— Symbole siedmiu planet. Ten tu, w kształcie kółka, z krzyżykiem u spodu — to znak Wenerę; wskazuje, że w sferze jej wpływów ważniejszym jest moment zasobu sił życiowych niż warunki środowiska.

— Na nim skupiałaś swą uwagę, gdy wchodziłem?

— Nie. Ten moment operacyjny zaszedł znacznie wcześniej. Gdy wchodziłeś, wyglądałam już wyników na powierzchni wody; szukałam w niej wizerunku twej twarzy.

Spojrzałem na nią przerażony.

— Ty mnie przyciągnęłaś do siebie w sposób magiczny! To nieuczciwie, Kamo! I cóż ci po takim zwycięstwie?

— Nie mogłam na razie inaczej; musiałam wpięrow przelamać wrogi mi wir, który przede mną zdobył wpływ na ciebie. Teraz już sztuk tych nie potrzebuję.

I lekceważącym ruchem ręki wywróciła czarę. Rozlany płyn ściągnął się na stole w długą wąską taśmę i zaczął ściekać na posadzkę.

— Zbyt pewna jesteś swego osobistego uroku — zauważyłem podrażniony.

Roześmiała się swobodnie:

— Tak, mówię to otwarcie. Ponadto poznałam cię dzisiaj dokładnie. Tyś już mój, Jerzyku!

Zbliżyła usta do mojej twarzy i z lekka dmuchnęła mi w oczy. Ciepły prąd przebiegł mnie od stóp do głów i przejął sobą całe me jestestwo.

— Jakżeś piękna, Kamo! — powtórzyłem parę razy bezwiednie.

Ona tymczasem wyjęła z kredensu flaszkę i dwa kieliszki.

— *Maresciallo rosso antico*, autentyczne — zachęciła, napełniając mi po brzegi kubek czerwonym moszczem. — Nie bój się! Nie otruję cię.

Przypiliśmy do siebie. Wino było dobre, tegie. Czulem, jak jego dobroczynna moc rozlewa mi się krzepiąco po żyłach. Trzymając w palcach trzon kieliszka, rozejrzałem się po raz pierwszy z uwagą po pokoju.

Wydał się skądś znajomy. Obicia koloru turmalinowego<sup>49</sup>, krzesła, fotele, stół sześcioboczny, oparty na sfinksach były mi znane... Nagle wyłoniła się szczególna orientacja: wszystkie te przedmioty, tylko w innym układzie i rozmieszczeniu, widziałem u Wierusza. Miało się wrażenie, że wewnątrz to w sposób zagadkowy skupiło w obrębie swych czterech ścian rozproszone elementy mieszkania mego przyjaciela.

— Czy znasz Andrzeja Wierusza, Kamo? — zapytałem wprost.

— Nie — odpowiedziała, nie patrząc mi w oczy.

Byłem pewny, że kłamie. Ale dlaczego? Po co kryje się z tym przede mną?

— Czy wiesz, że dom ten należy do człowieka, który jest moim przyjacielem?

— Teraz mieszkam w nim ja i to niech ci wystarczy.

W głosie jej brzmiała nuta triumfu i dumy.

— Co to wszystko znaczy? Gdzie ja właściwie jestem?

— W zaczarowanym pałacu, jeśli już chcesz koniecznie wiedzieć. Ach, wy mądry panowie — dorzuciła z pogardliwym uśmiechem — wiecznie wszystkiego dochodzący rozumem, panowie — sprytni rachmistrze i bałwochwálcy mózgu! Są sprawy, które się wam *zawsze* wymykać będą spod kontroli... Czy ci to nie wystarcza, że jesteś tutaj ze mną i że przeżyłeś parę godzin rozkoszy? Czy owo „gdzie?” nie jest rzeczą drugorzędną lub zgoła obojętną?

— Masz słuszność, Kamo — przyznałem biorąc ją za ręce. — Zawdzięczam ci wjątkowy wieczór! Gdybyś!...

Lecz rozpoczęte zdanie zamarło mi na ustach. W twarzy Kamy, dotychczas tchnącej świadomością własnej potęgi i czaru, nagle zaświtało coś jak wahanie; w oczach hardych, wyzywających zatliło błędne światło niepokoju. Szybko spojrzała na duży, wahadłowy zegar nad sofą. Była ósma.

— Idź już, Jur! — rzekła łagodnie. — Idź! Dłużej tu dzisiaj pozostać nie możesz. Oczekuję cię we wtorek o tej samej porze. Przyjdiesz, nieprawdaż, Jur?

— Przyjdę.

— Nie gniewaj się na mnie — prosiła, patrząc mi przymilająco w oczy — lecz pora już *spóźniona*. Muszę *stąd* wyjść za chwilę. Są pewne *przeszkody*. Rozumiesz?

— Rozumiem.

Przeciągnęła pieszczota pocałunku, pożegnalne zwarcie się spojrzeń... i wyszedłem. Poza mną zapadły głucho w zamek ciężkie, dębowe drzwi...

Rozejrzałem się. Klatka schodowa znikła. Przede mną biegł w głąb półmrocznej przestrzeni znany mi wąski korytarz z trojgiem drzwi, oświetlony słabo językiem gazu — przedsiem domu Wierusza...

Obejrzałem się poza siebie, szukając wejścia do pokoju, z którego przed chwilą wyszedłem, i zamiast drzwi dębowych znalazłem gładką, białą ścianę...

Więc to wszystko było tylko snem?! Niemożliwe! Czulem przecież wciąż jeszcze słodką niemoc miłosego wyczerpania.

— Kamo! Kamo!

Głos powrócił z przeciwległego kąta korytarza i zgasł w półmroku. Podszedłem do środkowych drzwi po lewej stronie, prowadzących do pracowni Andrzeja, i zapukałem. Nikt nie odpowiedział. Pociśnąłem klamkę: drzwi otworzyły się.

Wierusz siedział za stołem z głową odchyloną wstecz na grzbiet fotelu. W twarzy bladej, ascetycznej ani kropli krwi. Gdy zbliżyłem się doń na parę kroków, otworzył ociężałe powieki i spojrzął na mnie.

— Jestem z *paurotom* — wyrzekł z trudem — przychodzisz w porę, Jerzy.

— Spałeś?

— Tak i nie. — Uśmiechnął się. — Która godzina?

— Minęła ósma.

— Więc potrzebowałem aż trzech godzin...

— O piątej widziałem cię w korynckim krużganku. Wychodziłeś z domu.

<sup>49</sup>*turmalin* — minerał o czarnej barwie przechodzącej w ciemny granat lub zieleń. [przypis edytorski]

— Tak — o tej godzinie *wyszedłem z domu mego ciała...* W korynckim krążganku... powiedziałaś? — powtórzył, prostując się nagle z ożywieniem.

— Tak — tu, w twoim domu *na dole*. A potem poszedłem schodami na *piętro*.

Patrzył mi przenikliwie w oczy i wyczytał resztę.

— Źle się stało — szepnął powstając. — Bardzo, bardzo źle... Tak, tak — *skorzystano ze sposobności*. Widzisz — tłumaczył, zatrzymując się przede mną. — *Wyzyskano moment, w którym opuściłem na chwilę fizyczny plan*. W innych warunkach *nigdy* nie byłbym do tego dopuścił, bo wola moja silniejszą jest, gdy oparta o ciało fizyczne, niż w czasie eksterioryzacji<sup>50</sup>. W każdym razie pocieszającym objawem jest to, że użyto podstęp. Widocznie nie czuje się na siłach do otwartej walki ze mną.

Odstąpił parę kroków w głąb pokoju i stanąwszy pod kapą swego olbrzymiego pieca do destylacji alchemicznych, zwanego Athanorem, rzekł mocno:

— Z dwu magów o jednakowym astralnym rozwoju zwycięża w walce ten, który rozporządza silniejszym systemem nerwowym w fizycznej płaszczyźnie.

— Czy uważasz, że ona posiada zdolności nadprzyrodzone?

— Magiczne; i to w wysokim stopniu rozwinięte. Lecz, niestety, używa sił przez siebie zdobytych do celów błahych i pospolitych; dlatego nie będzie nigdy prawdziwą adeptką. Mimo to może być groźną nawet dla wtajemniczonego w wyższe stopnie nauki tajemnej. Przez moją nieostrożność i brak czujności mimo woli wszedłem częściowo w sferę jej wpływów. Dom mój, przynajmniej na czas jakiś, został przepojony trującą aurą, która od niej płynie. Czy wiesz, jak mahatmowie<sup>51</sup> nazywają podobny stan?

— Skądże mam wiedzieć? Nie mam najmniejszego pojęcia o tych rzeczach.

— Nazywają to *astralnym condominiumem*<sup>52</sup>... Nie jestem już wyłącznym panem tego domu; muszę się wbrew mej woli dzielić swą władzą z tą kobietą. Czuję, że walka będzie ciężką, lecz mam nadzieję, że mimo wszystko, mimo twej słabości, Jerzy, zwycięży.

Pochyliłem głowę przygnębiony, w poczuciu swej winy. Chociaż słowa przyjaciela były dla mnie ciemne i niejasne, rozumiałem dobrze to jedno, że przeze mnie wplątał się w wir sił sobie wrogich. Usiadłem i mechanicznie obracałem w palcach jakiś przedmiot leżący na stole. Po chwili spostrzegłem, że trzymam w ręku tę samą popielniczkę, którą widziałem przed paru minutami w pokoju Kamy. Zauważywszy na spodzie niedopałek cygara, wyjąłem go i przekonałem się, że na banderoli z marką ochronną w kształcie żółwia był napis: Tortuga. Były to zatem te same liście, które dopiero co wypaliłem tam „na górze”.

— Czy i ty zacząłeś palić „tortuga”? — zapytałem z niedowierzaniem.

Wierusz potrząsnął przecząco głową:

— Skądże znowu? Przecież wiesz, że w ogóle nie palę.

— W takim razie wytłumacz mi, skąd się wziął u ciebie ten niedopałek?

— To szczątek *twojego* cygara.

— Tak by wyglądało, lecz to sprawy nie wyjaśnia. Tu go przecież nie wypaliłem.

— Czy tylko ten szczegół powtarza ci się w tym pokoju?

— No, nie. Prócz popielniczki i cygara był ten sam stół i identyczne obicia ścian.

— I nic więcej?

— Owszem; lecz reszta urządzenia zdawała się pochodzić z twoich pokoi bibliotecznych.

— *All right*<sup>53</sup>!

Patrzyłem na Andrzeja szeroko otwartymi oczyma. To, co dla mnie było szaloną zagadką, jemu przedstawiało się w zupełnym porządku.

— Nadzwyczaj sprytnie umiała wyzyskać elementy mego mieszkania — rzekł z uznaniem.

— Ależ to było gdzieś na pierwszym piętrze! — krzyknąłem niemal wyprowadzony z równowagi jego spokojem. — Gdzie tu kto kiedy widział w tym domu jakieś schody na piętro lub przedsiónek z kolumnami?!

<sup>50</sup>eksterioryzacja (z łac.) — doświadczenie przebywania duszy poza ciałem. [przypis edytorski]

<sup>51</sup>mahatma — indyjski tytuł nadawany m. in. mistykom, tu: wtajemniczony. [przypis edytorski]

<sup>52</sup>astralne condominium (łac.) — wg spirytystów przestrzeń opanowana jednocześnie przez dwa ciała astralne. [przypis edytorski]

<sup>53</sup>all right (ang.) — w porządku. [przypis edytorski]

Uśmiechnął się pobłażliwie:

— Więc wyobraź sobie np., że byłeś przez trzy godziny w tzw. czwartym wymiarze zaludnionym chwilowo przez Kamę niektórymi elementami mego domu. No, cóż, zrozumiałeś?

— Nie bardzo.

— Trudno. Na to już nie poradzę... Ale, ale!... Chciałem cię jeszcze o coś zapytać. Czy nie wpadł ci tam w oko jakiś przedmiot, którego u mnie nie widziałeś? Rozumiesz? Chodzi o to, czy nie zauważyłeś w tamtej przestrzeni jakiegoś elementu zupełnie tu obcego, heterogenicznego<sup>54</sup>?

— Poczekaj chwilę... Tak — przypominam sobie... złotą czarę...

— Która stała w środku koła z wpisanym w nie znakiem septenera, co?

— Septener? Co to takiego?

— Obraz syntetyczny siódmego arkanu taroka<sup>55</sup>: figura geometryczna w formie siedmioramiennej gwiazdy ze znakami siedmiu planet po rogach. Dewiza: *Spiritus dominat formam*<sup>56</sup>.

— Tak. Widziałem istotnie ten symbol nakreślony kredą na stole... Patrzyła w głąb tej czary, gdy wchodziłem.

— Naturalnie była woda?

— Tak, lecz potem rozlała ją po stole na dowód, że w przyszłości nie będzie już potrzebowała tego środka.

Oczy Andrzeja nagle ożywiły się.

— W takim razie muszą tu być jeszcze jakieś ślady, o ile woda nie wyparowała.

I uważnie zaczął badać płytę stołu.

— Jest! — zawołał po czasie z triumfem. — Heureka<sup>57</sup>!

Podbiegł do Athanora i wyjąwszy z czeluści platynowy tygiel, zgarnął doń łyżką resztki płynu.

— Cudownie!

Wstawił naczynie w niszę w ścianie obok pieca i zatarł z zadowoleniem ręce:

— Znalazłem nareszcie punkt zaczepienia.

Patrzyłem na jego ruchy osłupiały.

— Co to wszystko ma znaczyć?!

— Wyjaśnię ci kiedyś później. Na razie rzecz to zbyteczna. Gotujemy się do walki, Jur! — dodał z błyskiem energii w siwych oczach.

Wyjął zza gorsu koszuli jedwabny woreczek, rozsunął taśmę szyjki i wydobyl z wnętrza metalowy krążek z wizerunkiem sześcioramiennej gwiazdy na tle lazurowym.

— Znasz to? — pokazał mi z daleka.

— Talizman?

— Nie — pantakl.

— W każdym razie coś pokrewnego.

— Zapewne, lecz są i zasadnicze różnice. Talizman służy do zgęszczania i skupiania energii tej planety, w której znaku urodził się jego właściciel. Posiada zatem znaczenie czysto indywidualne; jako związany najściślej z danym osobnikiem i jego planetą wzmacnia tylko to, co już od jego urodzenia *in potentia*<sup>58</sup> istnieje. Dlatego byłoby rzeczą bezcelową, gdyby ktoś urodzony np. pod znakiem wpływów Marsa chciał nosić na sobie talizman planety Saturna.

— Czym są w takim razie pantakle?

— Pantakle, sporządzane ze stopu siedmiu planetarnych metali, przepaja się przy pomocy stosownych ceremonii magicznych fluidami odpowiadających im planet; dlatego mogą one w *sztuczny* sposób zawiązać astralny stosunek pomiędzy tym, który je nosi,

<sup>54</sup>heterogeniczny (z gr.) — inny, należący do innego porządku. [przypis edytorski]

<sup>55</sup>tarok a. tarot (wł.) — dawna gra karciana bądź talia do niej, używana również do wróżenia. [przypis edytorski]

<sup>56</sup>spiritus dominat formam (łac.) — duch rządzi kształtem. [przypis autorski]

<sup>57</sup>Heureka — Eureka, legendarny okrzyk Archimedesesa, oznaczający „znalazłem” i wyrażający radość z odkrycia. [przypis edytorski]

<sup>58</sup>in potentia (łac.) — w stanie możliwości, jako możliwość. [przypis edytorski]

a elementami planet. — Pantakl, który masz przed sobą, nazywają zwykle „Pieczęcią Salomona”, „Gwiazdą Salomonową” lub „Mistycznym Heksagramem”<sup>59</sup>.

— Pozwól, chcę go obejrzeć dokładnie.

I wyciągnąłem rękę po krążek. Wierusz cofnął się przerażony, skwapliwie usuwając pantakl.

— Nie waż się go dotykać! — ostrzegł surowo.

— Dlaczego?

— Bo mógłbyś to przypłacić własnym zdrowiem, a nawet życiem, powodując wyładowanie skupionych tu sił. Zaszкодziłbyś bezpośrednio sobie, wystawiając się na działanie fluidów, pośrednio zaś mnie, gdyż rozbrojony pantakl straciłby swą moc i byłby dla mnie bez użycia.

— Zdaje mi się, przywiązujesz zbyt wielką wagę do tego krążka.

— Mówisz jak dziecko, Jerzy, o rzeczach, których istoty nie zgłębiłeś. Heksagram Salomona stanowi jedną z najpotężniejszych broni w ręku Wtajemniczonego. To symbol dylematu dobra i zła, to syntetyczny skrót równowagi magicznej. I w tym znaku zwyciężę czarne moce, które ktoś rozpętał wkoło mnie i ciebie. Dziś nie wiem jeszcze, kim jest ta kobieta i skąd przybywa — lecz że siły, które jej towarzyszą, są złe i występne, o tym już teraz nie wątpię... Zwycięzę — powtórzył z mocą — muszę zwyciężyć, *chyba że...*

— Co?

— Chyba że działalność moja na Ziemi przypadła na *okres chwilowych uustecznień...*

— Co w takim razie?

— W takim razie — odpowiedział cicho — poniósłbym porażkę.

— Ty i porażka! Czy to możliwe?

— Dziękuję ci, Jerzy, za tę wiarę we mnie, lecz czasem zbyt trudno jest płynąć pod wodę; *fala inwolucji*<sup>60</sup> *wszechświatowej zatapia nieraz i najwyższe szczyty*. Zresztą w podobnej walce *można niekiedy odnieść pirrusowe zwycięstwo*<sup>61</sup>.

— Jak to rozumiesz?

— Zdarza się, że wyczerpany zapasami zwycięzca *musi zejść z pola na czas dłuższy, może na całe wieki...*

— Mówisz do mnie rzeczy tak dziwne...

I wpatrzyłem się zamyślony w tajemnicze znaki „pieczęci”.

Po dłuższej chwili przerwałem milczenie pytaniem:

— Co znaczą te dwa wplecione w siebie trójkąty ze znakiem T w środku: jeden złoty, drugi srebrny?

— Ten złoty, obrócony wierzchołkiem do góry, zwany stąd *triangulus ascendens*<sup>62</sup>, symbolizuje Makroprozopa, czyli Boga Białego — ten drugi, srebrny, obrócony wierzchołkiem w dół, jest jego ponurym odbiciem: to znak Czarnobrodego Mikroprozopa.

— Znamienne połączenie wizerunków!

— Tu właśnie tkwi istota symbolu i jedna z zasadniczych zagadek bytu. „*Quod superius, sicut quod inferius*”<sup>63</sup> — głoszą tajemnicze słowa Hermesa Trismegista<sup>64</sup> ze Szmaragdowych Tablic. — „*Et sicut omnes res fuerunt ab uno meditatione unius, sic omnes res natae fuerunt ab hac una re: adaptatione*”<sup>65</sup>.

— Dla mnie najstraszliwszą zagadką będzie zawsze *geneza zła* we wszechświecie.

— Dotknąłeś problemu, o który, jak o rafę, rozbijają się spekulacje myślicieli wszystkich czasów. Zdaje mi się, że zło zrodziło się z pędu do określania się, który od prawiaków tkwi w istocie bytu. Przedwieczny Atma<sup>66</sup>, Bóg-Słowo, zapragnął wcielić się i wydał

<sup>59</sup>heksagram (z gr.) — sześciokąt. [przypis edytorski]

<sup>60</sup>inwolucja (łac.) — cofanie się w rozwoju. [przypis edytorski]

<sup>61</sup>pirrusowe zwycięstwo — właśc. Pyrrusowe zwycięstwo, odniesione w sposób, który wyniszcza zwycięzcę, od imienia Pyrrusa, króla Epiru (319–272 p.n.e), ponoszącego w zwycięskich bitwach olbrzymie straty. [przypis edytorski]

<sup>62</sup>triangulus ascendens (łac.) — trójkąt o wierzchołku skierowanym ku górze. [przypis edytorski]

<sup>63</sup>Quod superius... (łac.) — Tak jak tam w górze — podobnie i tu na dole. [przypis autorski]

<sup>64</sup>Hermes Trismegistos — bóstwo okresu hellenistycznego, łączące cechy gr. Hermesa i egipskiego Thota, patronujące wiedzy tajemnej. [przypis edytorski]

<sup>65</sup>Et sicut omnes... (łac.) — I jako wszystko wyszło od jednego pomyśleniem jednego, tak wszystko wywodzi swój początek od tej jednej rzeczy: przystosowania. [przypis autorski]

<sup>66</sup>Atma (sansk.) — tu: dusza wszechświata. [przypis edytorski]

z siebie życie. Nie wystarczyła Mu milcząca świadomość własnego istnienia i określił się kształtem. Bo uczył, że nie jest doskonałym i że potrzebny Mu świat, by mógł w nim rozwijać drzemiące w piersi możliwości. Przewoźnik wysnuł z siebie materię i przyoblekł się nią niby płaszczem. Bo tylko przez tarcie z ciałem możliwa dla ducha droga wzwyż. Lecz wyrzuciwszy z Swego łona życie, tym samym zstąpił w sferę zła i grzechu; bo to, co się ma rozwijać, musi walczyć: musi dźwigać się i znów upadać.

— A zatem — przerwałem mu — nie wierzysz w absolutną doskonałość Przedwiecznego?

— Nie. Absolut jest czymś sztucznym i nienaturalnym; to jedna z licznych abstrakcji mózgu ludzkiego, nie poparta życiem ani jego przejawami — to zastój i nieruchomość. Przeciwnie! Wszystko wskazuje na wieczny ruch, na *wieczną zmianę, ciągłą i stałą ewolucję*. I on, ten Wielki Nieznajomy, musi się też wraz z nami rozwijać — i on ma Swoje wzloty i Swoje upadki. Stwórca nie może być czymś heterogenicznym w stosunku do stworzenia. Duch świata — to wielki zbiornik niespożytych sił, to żelazny kapitał, z którego wciąż czerpie materia, wytwór Jego przedwiecznej tęsknoty objawu<sup>67</sup>. Czerpie wciąż pełnymi garściami i odwdzięcza Mu się, wzbogacając Go w doświadczenia bytu fenomenalnego i rzeźbiąc poprzez wieki rozwoju Jego nigdy nie wykończony posąg.

— Mówiłeś coś o momencie uwstecznienia...

— Ewolucja odbywa się w linii helikoidalnej<sup>68</sup>, ruchem olbrzymiej śruby, wwiercającej się bez końca w coraz to wyższe regiony bytu. Prawem cyklicznym okresów powrotnych panuje we wszechświecie bezkresna kolejność przemian: po okresie twórczym, pełnym elementów porywających świat naprzód, następuje okres stagnacji i ruchów wstecznych; lecz zawsze punkt szczytowy w danym okresie rozwojowym jest *wyższy* od punktu szczytowego w cyklu poprzednim.

— Więc ostatecznie ciągle idziemy naprzód?

— Tak. Wielki ruch wirowy myśli Bożej wspina się wciąż na coraz to wyższe kondygnacje.

— A my wraz z nim?

— A my wraz z Nim i w *Nim*: drobne ogniwa gigantycznej *vivarthy*<sup>69</sup>!

— Więc zło, zdaniem twoim, jest równie wiecznym jak dobro?

— Tak — niestety. Lecz zawsze suma jego energii rozproszonej we wszechświecie jest mniejszą od napięcia potencjału sił jasnych i czystych. I dlatego zawsze w końcu zwyciężyć muszą te ostatnie.

— Lecz nie rozstrzygająco?

— Nie. Zdaje się, że olbrzymi turniej trwać będzie wiecznie; kres walki odsuwa się wciąż w perspektywę nieskończoności. Szanse zła wprawdzie maleją, lecz prawdopodobnie nigdy nie spadną do zera. Byłoby to chyba możliwym w jednym, jedynym wypadku.

— Mianowicie?

— Gdyby Przedwieczny zniechęcony walką wchłonął z powrotem w Siebie świat objawiony i zamknął się w Sobie na zawsze.

— A czy to możliwe?

— A ty kochasz życie, Jerzy?

— Życie, mimo wszystko, jest przedziwnie piękne.

— Oto masz odpowiedź...

Wyrzuciłem przez okno. Było już całkiem ciemno i na niebie świeciły gwiazdy. Od miasta nadpłynął metaliczny dźwięk zegarów: biła dziewiąta wieczór.

Andrzej włożył z powrotem do woreczka heksagram i ściągawszy taśmę, ukrył na piersi.

— Znak stauraosa<sup>70</sup> T w środku pieczęci — nawiązał rozmowę — symbolizuje stosunek ducha do materii; kreska pionowa — to twórczy Fallus zapładniający poziomą Kteis<sup>71</sup>. Życie jest pierwiastkiem żeńskim. Kobieta ściąga nas ku Ziemi i jej sprawom.

<sup>67</sup>objaw — tu: objawienie się. [przypis edytorski]

<sup>68</sup>linia helikoidalna (gr.) — linia spiralna, przypominająca gwint śruby. [przypis edytorski]

<sup>69</sup>Vivartha — słowo hinduskie, oznacza wirowy proces przejawiania się Boga we wszechświecie; vivartha = lacińskiemu vortex (lub: vertex) — wir. [przypis autorski]

<sup>70</sup>stauros (gr.) — krzyż. [przypis edytorski]

<sup>71</sup>kteis (gr.) — kobiecy organ płciowy. [przypis edytorski]

Czy cię to nie uderzyło, że liczba czarownic w średniowieczu jest bez porównania większa niż liczba czarowników?

— Istotnie. Widocznie kult Zła jest silniejszy u kobiety niż u mężczyzny.

— A zawsze wszystko obraca się ostatecznie dookoła aktu cielesnego z Szatanem — tego aktu, który stwarza życie, a wraz z nim Zło i występki. Kobieta — *Magna Mater Terrae*<sup>72</sup> — *Matrix Admirabilis*<sup>73</sup>...

— A słowo stało się Ciałem i zamieszkało między nami. Duch Św. zstąpił w łono Dziewicy i powiła Syna Bożego.

— Nieśmiertelne prawo przeciwstawień i kontrastów — wieczna, niezniszczalna dwójka sił borykających się z sobą w zgiełku wieków...

Powstałem:

— Czas już na mnie.

— Bądź zdrow, Jerzy! — pożegnał mnie smutno. — Bądź zdrow! Zalecać ci teraz niczego nie mogę; wszystko zależy od twojej własnej, dobrej woli. Tylko mi... Halszki żal... To dobra, czysta dziewczyna...

Wzruszony, z opuszczoną nisko głową wyszedłem.

## SABAT

Żyję jak w śnie od paru miesięcy. Niby to spełniam zawodowe obowiązki i oddaję się codziennym zajęciom, lecz właściwie przebywam ciągle w innym świecie. Ten inny świat, cudowny, czasem groźnie piękny, przestał mnie już nawet dziwić; żyłem się z nim na dobre i zdaje mi się, że tak już być musi, że inaczej już być nie może...

U Grodzieńskich bywam jak dawniej. Kocham Halszkę, lecz nie mogę równocześnie wyrzec się rozkoszy, którą mi daje Kama. Nieraz wśród miłosnej ekstazy budzi się we mnie nagle chęć zabicia jej, usunięcia raz na zawsze z mej drogi. Ona zdaje się to przeczuwać, bo patrzy na mnie w takich chwilach wzrokiem bezsilnego gołębia:

— Uderz, uderz w pierś moją, jeżeli potrafisz!

I rozbijają mnie od razu...

Rzecz dziwna! Ona ma czasem w spojrzeniu coś z Halszki. Toteż nieraz zdaje mi się, że poprzez nią kocham właściwie tamtą. Halszka jest czymś świętym — nie śmiem myśleć o rozkoszy fizycznej, jaką dać by mi mogło jej ciało. I może właśnie dlatego Kama stała się dla mnie jej uzupełnieniem? Może dlatego w niej szukam swej antytezy płciowej, której znaleźć u Halszki nie mam odwagi?...

Kama jest ciągle inną; niby ta sama, a jednak inna. Stąd rozkoszne złudzenie nowości, iluzja czegoś jeszcze nie doznanego. Co za mistrzowska taktyka! Jest wyuzdana do ostatecznych granic; jej wyrafinowanie erotyczne przechodzi moją najśmielszą fantazję. A przecież jest jeszcze tak młodą! Tego się widocznie nie można nauczyć — z tym się przychodzi na świat. Idę za nią bez oporu, bo mnie pociąga jej demonizm. Życie jest tak ubożuchne w zdarzenia niezwykle, w tak skąpych dawkach rozdziela wyjątkowe wzruszenia...

Z niecierpliwością oczekuję przyszłego poniedziałku. Przygotowuje mi na ten dzień jakąś nową niespodziankę. Mam czekać na nią rano na rogu ul. Świętojańskiej, tam, gdzie się kończy pierzeja ostatnich już domów.

Miłość, Seks

Kobieta demoniczna

---

O dziewiątej byłem już na miejscu. Szary chłodny poranek otulał jeszcze ziemię zwojami mgieł; czółgały się leniwo po ugorach, rozdierając się na mleczne strzępy po krzakach przydrożnej tarniny. Tu i tam wysiadała od czasu do czasu z chaosu oparów sylweta starej gruszy lub wyciągał nieruchome skrzydła wiatrak. Gdzieś, daleko, na moczarach klekotał bocian...

Ktoś dotknął lekko mego ramienia.

— No, cóż, idziemy?

Spod bobrowego kołpaczka patrzyła na mnie para szatańsko pięknych oczu.

— Prowadź, Kamo!

<sup>72</sup>*Magna Mater Terrae* (łac.) — Wielka Matka Ziemi. [przypis edytorski]

<sup>73</sup>*Matrix Admirabilis* (łac.) — macierz przedziwna. [przypis edytorski]

I poszliśmy w mgłę polną ścieżyną. Przepojony wilgocią grunt oślizgiwał się pod nogami i przywierał do trzewików. Co krok chlupotały przedwiosenne bajury, powleczone delikatnym jak przędza pajęcza skrzepem. Po miedzach dumały szkielety zeszłorocznych ostów — żebracze resztki jesieni. Raz, na jakimś wydmuchu, przesunął się wyolbrzymiony mgłą kontur konia orzącego przy pługu i rozwiął się w mrace...

Po lewej, nad brzegiem urwiska, zamajaczył dom — chata.

— Jesteśmy na miejscu.

Podeszliśmy gliniastym wydrożem pod próg. Było cicho i samotnie. Ze zbutwiałego okapu sączyły się lzy szronu, uderzały w szyby okienek nagie pręty leszczyny.

Kama pchnęła przed siebie drzwi. Weszliśmy przez sień do izby na prawo. Była nieduża, kwadratowa, czysto wybielona. Jakiś stół, ława, dwa zydle i łóżko. We wnętrzu przy drzwiach, między ścianami, mały, zgrabny Athanor — przedziwna miniatura tego, który ma Wierusz.

W porozstawianych na płycie tyglach i retortach gotowało się; bulgotał war, pieniały się zielonym szumem dekokty, wybiegał przez brzegi naczyń kipiątek<sup>74</sup>; w środku na kracie paleniska dymił parami brzuchaty sagan.

Kama, zrzuciwszy futrzaną świtkę, ubrała się w szeroki, biały fartuch.

— Musisz mi pomagać, Jur — obiecałeś.

— Tak ci w tym do twarzy — odpowiedziałem, wodząc za nią zachwyconymi oczyma.

— Wyglądasz na tle tego alchemicznego pieca jak nowożytna Canidia<sup>75</sup>.

— Nie traćmy czasu na porównania. Lepiej przeczytaj mi receptę na maść Baptysty Porty.

I wskazała mi grubą, w skórę *marrochino*<sup>76</sup> oprawną księgę na stole.

— Co za biały kruk! — zauważyłem, biorąc dzieło z zainteresowaniem do ręki. — Obiecujący tytuł! *Magiae naturalis libri XX*<sup>77</sup>. Autor: Jan Baptysta Porta<sup>78</sup>. Znany, stary demonolog!

— Szukaj przepisu na maść czarownic!

Przeszedłem uważnie okiem parę kartek.

— Mam! Są dwa.

— Przeczytaj pierwszy!

— Weź: tłuszcz, tojad (*aconitum*), młode gałązki topoli, korzenie pokrzyku — mandragory, liście lulka czarnego i szaloną jagodę (*solanum furiosum seu maniacum*) — zmieszaj to wszystko razem z sadzami i zagotuj!

— Dobrze. A drugi?

— Recepta druga. — Weź: tłuszcz, pięciopalczatkę (*pentaphylium*), szaleję, czyli cień nocy, i korzeń dziedzierzawy — bielunia, znanego też pod nazwą *datura stramonium*, dodaj odwaru z pestek brzoskwini i parę kropel treści<sup>79</sup> laurowej, tej dzielnej<sup>80</sup> trucizny, której odrobina wpuszczona do ucha lub na język zabija jak piorun, i zagotuj to wszystko z jadem żmii, sokiem krzewu maniokowego i sperumą rozgrzanych w okresie rui klaczy — potem odcedź i zanim ostygnie, dolej oliwy i trochę krwi nietoperza.

— Wybieramy drugą. Jest dokładniejsza i budzi więcej zaufania.

— Najjadliwsze substancje, jakie wydała ziemia — odpowiedziałem, przeglądając pozóółkłe karty satanicznego *grimoire'u*<sup>81</sup> — same trucizny i narkotyki. Diabelska książka!

— Są na świecie jeszcze ciekawsze, ukrywane starannie po rodzinnych bibliotekach, przekazywane w sekrecie z ojca na syna — istne klucze do bram piekła.

— Czy wiesz, Kamo, że za to, co teraz zamierzamy, parę wieków temu palono bez litości na stosie? Nawet u nas, w znanej ze swej tolerancji Polsce, zginęła żywcem w płomieniach pod szubienicą w Poznaniu r. 1645 niejaka Regina Boroszka, rodem ze Stęszewa, która przed sądem zeznała, że była kochanką czterech szatanów: Turzego, Rokity, Trzcinki i Rogala; niewiasta owa „Boga Prawdziwego się zaprzawszy, zażywała co pewien

<sup>74</sup>kipiątek — wrzątek. [przypis edytorski]

<sup>75</sup>Canidia — trucielielka wspomniana w poezji Horacego. [przypis edytorski]

<sup>76</sup>marrochino (wł.) — safian, tj. barwiona kozia skóra. [przypis edytorski]

<sup>77</sup>Magiae naturalis libri XX (łac.) — Magii naturalnej ksiąg XX. [przypis edytorski]

<sup>78</sup>Porta, Gianbattista (1541–1597) — lekarz włoski. [przypis edytorski]

<sup>79</sup>treść — tu: wywar, esencja. [przypis edytorski]

<sup>80</sup>dzielny — tu: mocny. [przypis edytorski]

<sup>81</sup>grimoire (fr.) — księga magiczna, zwł. stara. [przypis edytorski]



czas z onymi czterema wszeteczeństwa brzydkiego”, na co się zresztą chwalebnie oburza nieznany autor *Postępku prawa czartowskiego* z wieku XVI.

— Miałam w Polsce więcej poprzedniczek, niż przypuszczasz — odparła rozcierając szklanym tłuczkiem ziola w moździerz. — Poddawano „próbie wody i igły” też Annę Jedynaczkę, oskarżoną o czary i „szatańskie z diabłami na Łysej Górze konwentykle<sup>82</sup>”, pławiono w stawie Annę Bogdajkę za zbrodnię czarnoksięstwa i Magdę Strzeżyduszyne, którą wzięto z tej przyczyny na męki, że wrzucona do rzeki „pływała, głowę z wody jako kaczka wyścibiając”... Szatan jest piękny i nigdy nie zabraknie takich, którzy pójdą za jego rydwanem... Wrzuć to do tygła!

I podała mi skórzaną torebkę napelnioną czerwonym proszkiem. Wsypałem go do naczynia i zamieszałem kopystką<sup>83</sup>. Zaskwierzało coś na dnie, zapieniło się rdzawym szumem i ucichło.

Kama wydobyla ze skrytki pod okapem piecowym małą prostokątną szkatułkę z drzewa orzechowego.

— Przypatrz się temu korzonkowi! — zwróciła się do mnie, wyjmując z wnętrza kasety dziwacznie powykręcane kłaczki jakiejś rośliny. — Ciekawy, co?

— Co to jest?

— To właśnie mandragora-android<sup>84</sup>.

— Android?

— No, tak — korzeń — *homunculus*<sup>85</sup>. Mówią, że gdy go się wyrzywa z ziemi, słychać głos podobny do ludzkiego krzyku.

— Dziwna roślina! Zupełnie przypomina kształtem kłacza małego człowieczka.

— Nazywają go też dlatego u nas pokrzykiem lub gniewoszem, bo zdaje się dąsać na tych, którzy ośmielają się go dotykać.

— Czyżby przyroda utrwaliła tu jedno ze stadiów ewolucyjnego pochodzenia? Byłżeby ten korzeń-karzełek przecuciem człowieka w roślinie?

— Może. W każdym razie wygląda jak jego zapowiedź.

Podeszła do tygla i przecedziła ich zawartość do wspólnej, jednoczącej ingrediencji<sup>86</sup> retorty; gęsty ciemnozielony płyn zaczął w oczach naszych ostygąć i krzepnąć w gruzły. Kama niecierpliwie śledziła przebieg chemicznego procesu.

— Gotowa! — zawołała w pewnej chwili, wybierając z naczynia na łyżkę ciemną, lepłą jak smoła maść.

— Czy zastosowałeś się do moich wskazówek? — zapytała, rozścielając z kolei na podłodze duże, puszyste, mlecznobiałe skóry niedźwiedzie. — Nic nie jadłeś od wczoraj wieczór?

— Jestem na czczo.

— W takim razie możemy zacząć.

Ruchem szybkim, sobie właściwym, zrzuciła suknie i stanęła na runie niedźwiedzim w swej olśniewającej nagości. Poszedłem za jej przykładem. Staliśmy chwilę naprzeciw siebie, związawszy się oczyma.

— Cudna czarownico moja! — zawołałem, biorąc ją w drżące ramiona.

Wywineła mi się z uścisku:

— Dzisiaj nie.

— Dlaczego?

— Dzisiaj mamy być tam.

I nabrawszy w palce ciepłej jeszcze maści, zaczęła ją wcierać sobie mocno pod pachy.

— Jeśli chcesz być ze mną *tam*, musisz robić to samo.

I kusząco patrząc mi w oczy, podała mi retortę z szatańską miksturą. Po chwili wahaniami zgodziłem się. Wkrótce uczuliśmy oboje zawrót głowy i senność. Kama znużona wyciągnęła się na futrze.

<sup>82</sup>*konwentykiel* — zebranie. [przypis edytorski]

<sup>83</sup>*kopystka* — rodzaj drewnianej łyżki lub łopatk. [przypis edytorski]

<sup>84</sup>*mandragora-android* — mandragora to roślina o korzeniu, który przypomina sylwetkę człowieka. [przypis edytorski]

<sup>85</sup>*homunculus* (łac.) — sztucznie stworzony, niewielki człowieczek. [przypis edytorski]

<sup>86</sup>*ingredienca* (z łac.) — składnik. [przypis edytorski]

— Jeżeli *wrócisz* tu przede mną, wyjdź natychmiast z tego domu — mówiła sennie, już na pół przytomna.

— Dobrze. Lecz gdybyś ty mnie uprzedziła?

Nie odpowiedziała już. Ciałem jej wstrząsały dreszcze, na policzki wystąpił hektyczny<sup>87</sup> rumieniec, spieczone gorączką usta mamrotały coś niewyraźnie. Nachyliłem się nad nią i zdołałem jeszcze uchwycić ostatnie, szeptem wymówione słowa:

Płot — nie płot,  
Wieś — nie wieś,  
A ty, biesie, nieś!...

Głowa jej opadła wstecz, bujne, rude włosy zmieszały się z białymi kędziorami runa i rozrzuciwszy się bezładnie w poprzek futra, zasnęła.

Równocześnie niemal i ja straciłem resztki świadomości. Świat mi zawirował przed oczyma w zawrotnej sarabandzie i z rozkrzyżowanymi rękoma obsunąłem się jak martwy obok Kamy. Przyszła noc czarna, bezwzględna i zarzuciła płachtę cieni nie do przebiccia...

---

Z martwoty snu obudził mnie jęk wichru. Leciałem gdzieś w przestworzach mroku, popychany nieznaną mocą w nieznaną stronę. Podo mną gięły się w poświstach orkanu jakieś drzewa, obok mnie prześmigały z chichotem jakieś kształty. Po pewnym czasie lot mój zniżył się i wszedł między ściany parowu. Czyjeś skrzydło szerokie, puszyste musnęło mnie w przegonie i poszybowało dalej. Nad uchem zabrzmiały mi głosy śmieszne, na pół zwierzęce, i odbite od stoczni wąwozu zgłuchły gdzieś po manowcach...

Nagle chmury na niebie rozsunały się i przez szczelinę bluznęło światło księżycy, obrzucając ziemię upiornie zieloną powodzią. W powietrzu obok mnie w szalonym wyścigu pędził tabun nagich, ludzkich postaci: młode, długowłose kobiety przytulone gronami piersi do grzbietów koźlich, dorodne, latem życia dyszące niewiasty okraciem na olbrzymich odyńcach, gibcy, smagli młodzieńcy, mężczyźni w sile wieku i lubieżni starcy z iskrą żądzy w dogasających oczach unoszeni w opętańczym wirze przez zjuszone, ciekające się klacze, ohydne, siwowłose megieri na ożogach, łopatach, kijach — rozszalały wyraj<sup>88</sup> bezwstydných ciał, powykrzywianych maszkar, zbieszonych pałub — koczokodanów...

Wtem gardziel jaru rozwarła się w kotlinę okoloną łańcuchem wzgórz; w środku podobny do ściętej głowy cukru strzelał w niebo granitowy stożek. Tutaj opuściła się szarańcza ludzka na ziemię, napęlniając śródgórskie zagłębienie zgiełkiem i rechotem. Skądś spod ziemi buchnął płomień i oświetlił krwawym blaskiem piekielną widownię. Oczy zgrai podniosły się wzwyż, na płaski szczyt stożka, oblany teraz purpurowym światłem. Tam na wykutym w skale tronie siedział, podkuliwszy pod siebie kosmate racice, gigantyczny androgyn<sup>89</sup> z głową brodatego kozła, z wymionami samicy i ze sromem mężczyzny — pół człowiek, pół zwierzę, okropny, posępny, skrzydlaty...

Po tłumie w dole poszedł szmer:

— Patrzcie! To On! Nasz pan! To On, Baphomet<sup>90</sup> braci mistycznego Templu<sup>91</sup>, Tyfon<sup>92</sup> egipskich magów, Aryman<sup>93</sup>-Python przedwieczny!...

— Chwała Ci, Panie ognistych czeluści, cześć Ci, Władco grzechu i spraw cielesnych, Orędowniku odrzuconych od oblicza Boga! W pokorze Ci się ścielem do stóp. Tobie jeno<sup>94</sup> służyc chcemy, Dawco rozkoszy i szałów krwi! Otośmy przyszli do podnóża Twego tronu, by hołd Ci złożyć od wieków należny i adorację dzieci tej ziemi... Hosanna, Nadolny Panie! Hosanna, Hosanna!...

---

<sup>87</sup>*hektyczny* (fr.) — chorobliwy a. wyrażający niepokój i podniecenie. [przypis edytorski]

<sup>88</sup>*wyray* (daw.) — odlot ptaków na zimę. [przypis edytorski]

<sup>89</sup>*androgyn* (gr.) — obojniak, hermafrodyta, istota wyposażona w narządy właściwe dla obydwu płci. [przypis edytorski]

<sup>90</sup>*Baphomet* — bóstwo rzekomo czczone przez zakon templariuszy wedle niechętej im propagandy. [przypis edytorski]

<sup>91</sup>*bracia mistycznego Templu* — templariusze. [przypis edytorski]

<sup>92</sup>*Tyfon* (mit. gr.) — potwór, syn Gai i Tartarosa, utożsamiony z egipskim Sethem. [przypis edytorski]

<sup>93</sup>*Aryman* — irańsko-perski bóg ciemności, uosobienie zła. [przypis edytorski]

<sup>94</sup>*jeno* (daw.) — tylko. [przypis edytorski]

I zakołysała się rzesza morzem głów pochylonych w znak hołdu i falą grzbietów nagich, zgiętych w znak poddaństwa.

Na obliczu Szatana zagrał uśmiech — dziwny uśmiech nasyconej dumy i grymas złowieszczej radości. Powstał z siedliszczą olbrzymi, nieprzenikniony i skinął węzowym posochem<sup>95</sup>. Wtedy dwu braci przybranych w kozle skóry i diabelskie poroża zaczęło prowadzić ku tronowi skalistym wydrożem jakąś kobietę. Szła szybko, śnieżnobiała w swej nagości, w płaszczu złotolitym włosów, spadającym do stóp małych, niemal dziecięcych. A gdy już po raz trzeci okrążyła stożek, wstępując ku górze, poznałem Kamę. Wlepiała zachwycone oczy w Bafometa i szła zapatrzona weń jak lunatyczka. Dotarłszy do podnóża tronu, zatrzymała się pokorna i drżąca... Wtedy z paszczy potwora wyszedł dźwięk podobny do chichotu i zabrzmiał rozkaz:

— Oddaj należny pocałunek Panu twemu!

I z obrzydzeniem spostrzegłem, jak dotknęła ustami jego lewej nogi i ręki.

— Hi, hi, hi! Hi, hi, hi! — rechotała ludzka czereda z dołu. — Czyń swą powinność, młoda czarownico! Pozdrów Pana swego, jak na cię przystało!

Kozioł obrócił się do niej tyłem i podniósł kitę ogona.

— Całuj! — ryknął dominując nad rechotem wyznawców. — Całuj!

A gdy spełniła ohydny rozkaz, potwór-obożniak położył jej prawą dłoń na piersi i rzekł głosem huczącym jak grom:

— Oto pieczęć — dar mojego ducha. Przyjmij go i noś na sobie w imię moje!

I gdy odjął rękę, pojawiło się na piersi Kamy haniebne piętno diabelskiego stygmatu.

— Przyjętaś w poczet siostr i braci mojego zakonu.

Ceremoniał był skończony. Wśród piekielnej wrzawy i śmiechów zesza ze skalnego stogu i wmieszała się w zgraję sabatników...

Rozległy się tony niewidzialnej muzyki. Zrazu senna, drzemiąca, powoli przerodziła się w orgię dźwięków chrapliwych, dyszących skwarem krwi, rują pożądaniami. Kilkaset nagich postaci, ujawszy się za ręce, otoczyło olbrzymim kołem tron kozła. Rozpoczął się taneczny korowód. Wśród jurnych okrzyków rozgrzanych samców i samek<sup>96</sup> rozkołysały się w takt szatańskiego bolera<sup>97</sup> obnażone torsy, wygięły w pałąk połyskujące oliwą i potem grzbiety. Powstał wielki tupot bosych nóg na murawie, a odbity od wieńca wzgórz wrócił wzmocniony echem...

W świetle pochodni zatkniętych za żelazne kuny<sup>98</sup> prześmigало w coraz szybszym tempie kotłowisko kosmatych łydek, napęczniałych lubieżą piersi, podanych ku sobie w bezwstydnym pragnieniu podbrzuszy.

— Huś, hejja! Huś! Hejja!

Wtem pękł taneczny pierścień i rozpadł się na tysiące ogniów, które znów jak planetarne mgławice jęły<sup>99</sup> się owijać dookoła własnych rdzeni-osiódków. Lecz i te wkrótce uległy odśrodkowej tendencji, rozdrabniając się na coraz to węższe kółka i wirówki. W końcu rozhuwane stado ludzkie rozsypało się po kotlinie w dzikim wyścigu szukających się wzajemnie płci...

Tu jakiś muskularny samiec przygniatał ciężarem włochatych bioder śnieżnobiałe, delikatne jak atlas łono oszalałej z chuci dziewicy, tam podstarzała, z obwisłymi workami wymion czarownica tuliła w objęciach rozkwitłego w młodzieńczej krasie efeba, ówdzie brzemienna od miesiący już matka kazała się wszeteczną miłością z diabłem, skazując na zagładę poczęty płód.

W pieczarach góry, tam gdzie już nie docierał blask czerwony ogień, skryła się najohydniejsza sromota. Tam to, zaszywszy się w najciemniejsze zakątki, jakby w obawie, by sam szatan nie spłonął za nich rumieńcem sromu, zaspakajali swe nieludzkie żądze sodomicy<sup>100</sup>. Pod skalnym wiszarem<sup>101</sup>, co jak baldachim rozpiął się nad mensą<sup>102</sup> upłazu<sup>103</sup>,

<sup>95</sup>*posoch* — laska stanowiąca symbol godności a. władzy. [przypis edytorski]

<sup>96</sup>*samka* (daw.) — samica. [przypis edytorski]

<sup>97</sup>*bolero* — taniec hiszpański. [przypis edytorski]

<sup>98</sup>*kuna* — tu: obręcz. [przypis edytorski]

<sup>99</sup>*jęć* (daw.) — zacząć. [przypis edytorski]

<sup>100</sup>*sodomita* — osoba odbywająca stosunki płciowe ze zwierzętami. [przypis edytorski]

<sup>101</sup>*wiszar* (daw.) — nawis skalny. [przypis edytorski]

<sup>102</sup>*mensa* — stół stanowiący główną część ołtarza. [przypis edytorski]

<sup>103</sup>*upłaz* — porośnięty trawą stok górski. [przypis edytorski]

odprawiał świętokradczy kapłan parodię mszy; za ołtarz służyło mu nagie ciało rozciągniętej bezwstydnie kobiety, zamiast wina miał w czarze krew...

Obok z „kazałnicy” przemawiał do gawiedzi pękaty, w półwieczny kontusz przystrojony Kostruban<sup>104</sup>, dalej na stołach z tarcic, rzuconych w poprzek na kadzie i beczuły z wódką, odprawiano sabatowy bankiet.

Ponad głowami biesiadujących przeciągały z łopotem błoniastych skrzydeł strzygi<sup>105</sup>, które biorą z kołyszek niemowlęta piękne, tłuste i nieplacziwe, a podkładają w ich miejsce chude i blade — jędze-jeżybaby łase na krew dzieci, straszliwe empuzy i lamie-upiorzyce<sup>106</sup>. Z daleka od zgietku ucztujących snuło się jak cień z załamanymi rękoma, z prętem czarnym w dłoni widmo kraśnego<sup>107</sup> moru<sup>108</sup>, zwane Cichą Dziewczyną...

Mnóstwo gacków, kruków, ogoniastych, z wyżartymi pośladkami pawianów, kotów, świń, szcurów, myszy i wszelakiego robactwa uwijało się wkoło po murawie, wnącało natrętnie do naczyń, przypijało się zuchwale do ust, do oczu, do twarzy... Jakieś dziwaczne stwory, niepodobne ni do ludzi, ni do zwierząt — złośliwe boby-babuki, złowieszcze mochy-matochy i okrutne mamuny<sup>109</sup> podkładały się chyłkiem do stołów i czyhały na resztki...

A ponad tym wszystkim tam, na platformie stożka, rozparty niedbale w kamiennym swym siedlisku górował Pan Zła i Nocy. W oczach jego zimnych i rozumnych krzyżowały się błyski bezgranicznej pogardy i dumy — wyprężone w górę ramię prawe jakby na ironię wskazywało wybladły księżyc, który krył się właśnie za chmurą, by ustąpić miejsca swemu cieniowi tam, w dole, pod lewą ręką potwora, czarnemu Geburah<sup>110</sup>.

— Huś, hejja! Huś, hejja! — zawyło ponownie z głębi kotliny. Zgasło upiorne, purpurowe światło, skonały pochodnie i wśród absolutnego mroku rozpoczął się ostatni akt sabatu, zakryty już przed oczyma gwiazd. Tylko od czasu do czasu z węzowiska skleszczonych ciał, tarzających się w miłosnej duście grzbietów, tyłków, ud, splecionych konwulsyjnie ramion, łędźwi, nóg, szedł charkot gżących się klaczy-samic, jurny ryk rozbestwionych rują ludzkich ogierów i rżące pohutnywanie szaleńców. Raz na tle momentalnej ciszy odezwał się śmieszny odgłos czkawki:

— Czha-hyk... czha-hyk...

Nagle ze szczytu stogu zabrzmiał przeciągły, przygłuszający wszystko jęk. Bolesna, tragiczna w swej bezdennej głębi skarga rozorała kiry sabatowej nocy i odbita od milczących turni skonała gdzieś w nizinach...

Dreszcz grozy przejął ludzką trzodę.

— Co to było? Skąd ten głos?

I oto po raz drugi rozdarł powietrze ten sam straszliwy krzyk, tylko tym razem mocniejszy jeszcze, rozpaczliwszy, beznadziejny...

Zadrżała w posadach góra, struchleli ludzie i zwierzęta. Potężną musiała być pierś, co wydała ten ton...

Wtem wieniec ognistych języków otoczył purpurową koroną obrzeża szatańskiego stożka i oświetlił posepną zorzą postać Bafometa.

Stał ogromny, ponury, głową przenoszący szczyty. W twarzy koźlej, brodatej przebijająca bezgraniczna męka — w oczach ogromnych, przepaścistych jak otchłań czało się wielkie, bezdenne cierpienie, bezkresna rozpacz odrzuconego od oblicza Pana. Jak przed wiekami przesłonił dłonią olbrzymie, w głębokie bruzdy poradlone czoło i jęczał. Potworną, włochatą pierśią największego z buntowników wstrząsało łkanie dziecka...

— Panie! Przeczżeś<sup>111</sup> mnie odtrącił?...

Wtem blask przedziwny rozświetlił skamieniałe w męce rysy, pęk jasnych promieni strzelił spomiędzy koźlich rosochów i stanął cały w strugach świetlanej łaski. I wtedy za

<sup>104</sup>Kostruban — imię mało znaczącego diabła z ludowych opowieści. [przypis edytorski]

<sup>105</sup>strzyga — upiór żywiący się ludzką krwią. [przypis edytorski]

<sup>106</sup>empuzy a. lamie (mit. rzym.) — upiory pod postacią pięknych kobiet, porywające i zjadające dzieci i młodych mężczyzn. [przypis edytorski]

<sup>107</sup>kraśny (reg.) — czerwony. [przypis edytorski]

<sup>108</sup>mór (daw.) — zaraza. [przypis edytorski]

<sup>109</sup>mamuna — upiór z mitów słowiańskich, atakujący niemowlęta i ciężarne kobiety. [przypis edytorski]

<sup>110</sup>Geburah — jedno z imion ducha ciemności występujące w żydowskiej *Kabale*. [przypis edytorski]

<sup>111</sup>przecz (daw.) — dlaczego. [przypis edytorski]

sprawą jednej z najcudniejszych przemian zniknął ohydny kozioł i z kręgu łsnień i ogni, jak odrodzony Feniks z popiołów, dźwignął się ku niebu gigantyczny Adam-Lucifer<sup>112</sup>...

Olśniony tęczą światel i blasków upadłem twarzą na ziemię i po raz wtóry straciłem przytomność...

---

Było już koło piątej po południu, gdy otworzyłem ociężałe powieki. W okna chaty zaglądał smutny zachód lutowego odwieczera i kładł długie, czerwone smugi na podłodze...

Dźwignąłem się leniwo z niedźwiedziego futra, usiłując powstać na nogi. Lecz mi odmówiły posłuszeństwa; jak pijany zatoczyłem się i oparłem rękoma o stół. W głowie miałem huk i szum, na ustach posmak gorączki. Zwilżyłem językiem spękane wargi, przyciskając dłonie do pulsujących wściekle skroni: tętniło mi w arteriach uderzeniami młotów potężnej kuźnicy...

Nabiegłe krwią oczy ześliznęły się z męczącej białą wapną ściany naprzeciw i padły na śnieżną plamę runa z nagą kobietą w pośrodku. Kama leżała wciąż w głębokim uśpieniu. Rozchylone jej usta drgały lekko jak para wiśnych jagód trącanych skrzydłem wiatru, rozrzucone swobodnie nogi wykonywały jakieś ruchy bezwstydnie lubieżne... Po raz pierwszy uczułem wtedy ku niej jakby wstręt. Odwróciłem się z niesmakiem i spostrzegłszy, że sam jestem nagi, szybko ubrałem się. Szum w głowie powoli przycichał, ustępując miejsca nieznośnemu bólowi. W uszach dzwoniła wciąż na alarm krew. Rzuciłem raz jeszcze okiem na śpiącą i przykrywszy ją szalem, wypadłem z izby na pole. Świeże, ścięte przymrozkiem powietrze orzeźwiło mnie. Z odkrytą głową zacząłem zmierzać ku miastu. Chłodny powiew wieczora uderzył mnie w piersi i nagle zrobiło mi się zimno. Zapinając palto pod szyję, zauważyłem brak medalionu z puklem włosów Halszki.

— Czyżbym zostawił tam, w tej diabelskiej lepiance?

Zawróciłem w stronę chaty. Musiałem odnaleźć ten przedmiot za wszelką cenę. Lecz ku memu zdumieniu, stanąwszy nad brzegiem polnego urwiska, nie ujrzałem już chaty. W miejscu, gdzie stała jeszcze przed chwilą, rozciągała się pusta, jałowa równia pola; tylko samotny, odarty z liści chochoł leszczyny potrząsał smutno kikutami prętów...

## POD POZIOMEM DRUCZY

Wspólne przeżycie nocy sabatowej wpłynęło na stosunek mój do Kamy oziębiająco. Zamiast, jak zapewne przypuszczała, zbliżyć mnie, raczej oddaliło mnie od niej; zacząłem odwiedzać ją rzadziej. Za to częściej i dłużej przesiadywałem teraz u Grodzieńskich. Wrażliwa jak kwiat dusza Halszki wyczuła zaraz zaszłą we mnie zmianę; zniknął odcień melancholii w jej błękitnych oczach, powróciło dawne ożywienie i humor w rozmowach. Widziałem, że znów jest szczęśliwą.

Stosunki moje w tym czasie zaczęły układać się pomyślnie i pozwalały już myśleć w najbliższej przyszłości o poślubieniu ukochanej dziewczyny. Toteż całymi popołudniami snuliśmy daleko sięgające plany przyszłych podróży, dając się unosić swobodnie nurtom młodej wyobraźni. Czasami Halszka siadała do pianina i ukołysana czarem fantazji wygrywała kompozycje natchnione morzem i jego potęgą. Wgłębiając się w kącie salonu w jakimś fotelu, wsłuchiwałem się godzinami w huk fal, w szum piany lub cichą melancholię wieczornych przypływów. Czasem przerwał melodię krzyk mewy morskiej, czasem śpiew stęsknionego majtka lub dźwięk syreny odbijającego statku. I znów wracał szeroki, rozległy rytm żywiołu...

Lecz niedługo trwały chwile ukojenia. Pewnego dnia Halszka zaczęła uskarżać się na ból powyżej łokcia. Z niewiadomej przyczyny ręka nabrzmiała niemal aż po pachę i w środku spuchlizny zaczęło formować się coś w rodzaju wrzodu. Zawezwany lekarz oświadczył się za natychmiastową operacją. Halszka wzbraniała się, prosząc o zwłokę. Wieczorem wrzód pękł sam bez przecinania. Wraz z ropą wyszło parę igieł, jakieś obłe drewnienko i zwitek czarnych nici. Stara niania Halszki, Kasia, spostrzegłszy wybroczyzny, pociągnęła mnie za rękę do drugiego pokoju.

---

<sup>112</sup>Adam-Lucifer — niektóre wierzenia utożsamiały Adama z Lucyferem, tj. aniołem zbuntowanym przeciw Bogu. [przypis edytorski]

— Proszę pana — tłumaczyła mi tajemniczo — panience ktoś to paskudztwo „wrzucił”.

— Nie rozumiem.

— To czary, proszę pana. Niech się pan nie śmieje ze starej baby, ale to są istne czary. Ktoś ma złość do naszej panienki i rzucił uroki.

— Et, plecie Kasia androny!

Lecz sługa nie dała zbić się z tropu.

— Kiedy mówię, że czary, to czary. Kto by kiedy słyszał, by takie rzeczy same się dostawały do ciała? Pewnie panience pozazdrościła szczęścia jakaś zła kobieta i dlatego „wrzucą”...

Po paru dniach rana zagoiła się, nie pozostawiając śladu blizny. Lecz wkrótce potem ukształtował się podobny guz na łopatce. Wrzód jątrzył się przez cały tydzień, a gdy nareszcie ropa przebiła skórę, wypłynęły wraz z gruzłami zbitej materii okruchy węgla, jakieś stare zardzewiałe szpilki i kawałek ciemnozielonego sukna.

Widząc bezradność lekarzy, którzy nie umieli zapobiec dalszemu rozwojowi dziwnej choroby, zwróciłem się o pomoc do Wierusza. Przyszedł, jak zwykle skupiony w sobie, wysłuchał w milczeniu relacji Halszki o przebiegu cierpienia i obejrzał miejsca zaatakowane.

— Uprzedzam panią z góry — odezwał się na koniec, robiąc magnetyczne pociągnięcia w kierunku od ognisk owrzodzenia ku kończynom ciała — że mogę ją wyleczyć na razie tylko przemijająco; dziś jeszcze nie rozporządzam takimi środkami, by kuracja, którą pani zalecę, dała wyniki bezwzględnie zadawalające i trwałe. Mam jednak nadzieję — dodał z łagodnym uśmiechem, gładząc po ojcowsku jej jasne warkocze — nawet pewność, że po pewnym czasie, może wkrótce, uda mi się uzdrowić panią definitywnie.

— Wierzę, że tak się stanie — odpowiedziała, patrząc z ufnością w jego dobre, mądre oczy.

— Wiara pani ułatwi mi zadanie i wzmocni mnie na siłach. — Jerzy, przytrzymaj chwilę prawe ramię!

Wykonałem polecenie, ujmując lekko w palce przegub jej ręki. Wtedy pod wpływem passów Wierusza chorobotwórcza materia nabrzmiała w duży, siny guz na obojczyku i zdawała się posuwać od centrum zaognienia wzdłuż ramienia ku dłoni...

Popatrzyłem na Andrzeja. — Stał milczący, z oczyma skupionymi na chorej, z głęboką bruzdą na czole, trzymając rękę w odległości kilku centymetrów od ramienia Halszki.

— *Progrediaris!*<sup>113</sup> — wyszedł nagle z zaciśniętych ust jego cichy, lecz mocny rozkaz.

I podsunął dłoń o parę cali niżej ku przedramieniu. Obrzęknięta, jakby posłuszna woli lekarza, skłębła u źródła, wydłużając się wąską, czerwonosiną wstęgą ku łokciowi.

— *Porro!*<sup>114</sup> — rozkazał powtórnie.

Chora wydała cichy jęk:

— Boli...

— Zaraz uczujemy ulgę — uspokajał, trzymając rękę nad przegubem. — Zwykle na zgięciach stawów wrażliwość jest większa... *Porro!*

Pręga ropy zesunęła się przedramieniem ku dłoni.

— Teraz musisz podtrzymać rękę tam w górze.

— Nie boli? — zapytałem, ujmując ostrożnie w palce jej ramię w miejscu, gdzie jeszcze przed kilku minutami sinią napęczniały ropą wrzód.

— Ani trochę — odpowiedziała cudownie zapłoniona.

Tymczasem Wierusz odprowadzał chorą materię już ku palcom. Po kwadransie pękł naprężony naskórek wskazującego i średniego, wydzielając z wybroczynami odłamki szkła. Wierusz wymył rany sublimatem<sup>115</sup> i wysmarowawszy dłoń chorej jakąś maścią, założył bandaż.

— Jak się pani czuje? — zapytał po ukończeniu operacji.

— Doskonale. Ani śladu bólu. Dziękuję panu, cudowny lekarzu!

I ze łzami w oczach uściśnęła mu dłoń.

<sup>113</sup>*Progrediaris!* (łac.) — Postępuj! (Posuwaj się!). [przypis autorski]

<sup>114</sup>*Porro!* (łac.) — Dalej! [przypis autorski]

<sup>115</sup>*sublimat* — chlorek rtęciowy, stosowany m. in. jako środek dezynfekcyjny. [przypis edytorski]

— Niestety — westchnął, zakłopotany widocznie zachowaniem się starego Grodzieńskiego, który usiłował zmusić go do przyjęcia honorarium — wszystko to, na razie przynajmniej, jest prowizoryczne... Nie, dziękuję panu — stanowczo odmawiam — rzekł zabierając się do wyjścia. — Z zasady w ogóle nie zajmuję się leczeniem; zrobiłem tylko wyjątek dla narzeczonej przyjaciela.

— W takim razie doprawdy nie wiem, jak się mam panu odwdziaczyć — mówił zażenowany z kolei ojciec Halszki.

— Drobnostka, kochany panie. Proszę tylko teraz koniecznie wywieźć córkę na parę tygodni stąd na wieś, i to możliwie daleko — może gdzieś w nasze góry. Chodzi o to, by na razie przedzielić ją jak największą przestrzenią od tego miasta.

— Jutro wyjeżdżamy.

— *All right!* Tak będzie najlepiej. A ty, mój kochany Jerzyku, zostaniesz przez cały ten czas tutaj ze mną.

Nie pomogły protesty Halszki i biorącej zawsze jej stronę matki. Jeszcze tegoż wieczora, ulegając woli Andrzeja, pożegnałem się z nią na czas dłuższy.

— Musisz zaraz iść ze mną — zaopiniował stanowczo, wyciągając mnie za sobą niemal gwałtem z domu Grodzieńskich. — Mam z tobą do omówienia wiele spraw pierwszorzędnej wagi.

Wkrótce potem siedzieliśmy już obaj w jego zacisznej pracowni, wpatrując się zamysłeni w żar płonącego kominka. W pewnej chwili Andrzej oderwał oczy od ognia i skierował je na mnie.

— Sądzę — rzekł — że nie ma żadnych wątpliwości co do tego, kto jest sprawcą „wrzutów” u Halszki.

— Tak. Wszystkie poszlaki prowadzą w jedną stronę.

— Musimy zatem działać, i to natychmiast, dopóki trujący wicher, który płynie *stamtąd*, nie rozpełta się w orkan nie do opanowania.

— Jestem na twoje rozkazy.

— Czy pamiętasz resztki wody rozlanej przez Kamę z owej czary?

— Naturalnie; zebrałeś ją wtedy do retorty i schowałeś w niszy Athanora.

— Udało mi się nareszcie zbadać widmo astralne tej wody.

— Więc woda ma też swoje widmo astralne?

— Jak każdy żywioł i każdy pierwiastek. Czy czytałeś Teofrasta Paracelsusa<sup>116</sup>? *De ente astrorum*<sup>117</sup> i *Archidoxis magica*<sup>118</sup>?

— Nie. Słyszałem tylko o tym dziwnym człowieku. Uchodzi podobno wśród okultystów za powagę.

— Jeden z najgłębszych magów w Europie, niesłusznie ośmieszony przez wiedzę oficjalną. Otóż wspomniane przeze mnie dzieła tego filozofa rozróżniają cztery rodzaje widm astralnych: *Stannar* lub *Truphat*, czyli widmo minerałów, które będąc łącznikiem między ich częścią materialną a duszą, wywołuje krystalizację — widmo astralne kwiatów, czyli *Leffas*, tj. siłę życiową rośliny, którą można drogą alchemiczną uwidocznic w rurce szklanej, w końcu widmo zwierząt, zwane *Evestrum*, i dwojnika, czyli sobowtóra ludzkiego.

— Nas zatem obchodzi *primum ens*<sup>119</sup> wody, czyli jej *Stannar*?

— Oczywiście. Zanalizowałem drogą alchemiczną wodę przepojoną fluidami tej kobiety. Zadanie było niełatwe ze względu na drobną ilość płynu; musiałem przeprowadzić analizę parę razy. Lecz nie żałuję trudu; wyniki przeszły moje oczekiwania.

— Czy udało ci się zdobyć jakiś wpływ na nią?

— Na razie nie, lecz otrzymałem nader ciekawe wskazówki.

— W jakim kierunku?

— *Truphat* wody namagnetyzowanej przez Kamę zdradza rozgałęzienia.

— Nic nie rozumiem.

<sup>116</sup>Paracelsus (ok. 1493–1541) — lekarz i alchemik szwajcarski, jeden z twórców nowożytnej medycyny, zajmował się też wiedzą tajemną. [przypis edytorski]

<sup>117</sup>*De ente astrorum* (łac.) — O istnieniu gwiazd. [przypis edytorski]

<sup>118</sup>*Archidoxis magica* (gr.-łac.) — wiedza magiczna, wiedza tajemna. [przypis edytorski]

<sup>119</sup>*primum ens* (łac.) — pierwiastek. [przypis edytorski]

Wierusz, zanurzwszy się w czeluść Athanora, wydobyl ze skrytki cynowe naczynie podobne do ukariny<sup>120</sup>, zamknięte wieczkiem, z dwoma wystającymi z boku różkami.

— Przypatrz się tym dwom wyskakującym palcom — rzekł, wskazując na cynowe sutki.

— Jedna z nich jest znacznie krótsza od drugiej.

— I ona właśnie posłuży nam za drogowskaz.

— Chyba nie zechcesz we mnie wmówić, że to naczynie zawiera astral wody?

— Bynajmniej. Ten można obserwować tylko w rurce, i to przez nader krótką chwilę, wywołaną sposobem alchemicznym.

— Więc co jest w naczyniu?

— Resztki wody namagnetyzowanej przez Kamę zmieszane ze specjalnym preparatem, sporządzonym przeze mnie dla wzmocnienia fluidycznych jej własności. Owe sutki wystające z tej alchemicznej ukariny — to kierunki, w których wydłużyło się widmo astralne wody podczas analizy. Kierunki, w których obecnie wydłuża się płyn w naczyniu, są wiernym odbiciem kierunków rozwidleń jego widma.

— To wszystko nie wyjaśnia jeszcze znaczenia wywołanego przez ciebie zjawiska.

— Rozumie się. Zaraz ci wyjaśnię resztę. Przede wszystkim należy pamiętać o tym, że między Kamą a szczątkami namagnetyzowanej przez nią wody istnieje do dziś dnia ciągły związek, tzw. *rapport*<sup>121</sup> magnetyczny.

— Zaczynam domyślać się.

— Owe sutki, wystające z astralu wody niby macki protoplazmy<sup>122</sup> zanurzonej w roztworze, wskazują kierunki, w których należy szukać Kamy *względnie tego, co z nią pozostaje w ostrej styczności*.

— Szukać Kamy nie potrzebujemy; o ile chcesz się z nią rozmówić, mogę w każdej chwili...

— Cha, cha, cha! — roześmiał się Wierusz, przerywając mi. — Naturalnie, że jej nie potrzebujemy szukać — przynajmniej na razie. Lecz uważasz, Jerzy, zastanowiło mnie, że w ogóle ten astral się rozgałęzia. Gdyby pozostawał w związku tylko z nią, wydłużałby się tylko w *jednym* kierunku. Tymczasem rozwidła się. Tu cała tajemnica! Rozumiesz?

— Tak. Widocznie istnieje tu podwójny *rapport* magnetyczny.

— Świetnie, mój kochany! Świetnie! Zaczynasz się wyrabiać. Właśnie o to chodzi. Mamy tedy dwie drogi, na których być może uda mi się wtargnąć w orbitę jej jaźni.

— Którą wybrałeś?

— Pójdziemy w kierunku słabszego wychylenia astralu.

— To znaczy w kierunku wskazywanym przez krótszy smoczek ukariny?

— Tak. A wiesz, dlaczego?

— Nie domyślałam się.

— Bo przypuszczam, że odgałęzienie dłuższe jako symbol silniejszej atrakcji w tym kierunku zaprowadziłoby nas wprost do Kamy. Nas obchodzi natomiast owo dyskretne, ledwo widoczne wychylenie, którego obrazem sutka krótsza.

— Spodziewasz się zatem przy pomocy tego drogowskazu dotrzeć do czegoś innego.

— Tak. Będzie to właśnie owo *tertium associationis magneticae*<sup>123</sup>, którego szukam.

— Oryginalny pomysł!

— Tłumacząc tę operację na język geometrii, można by powiedzieć, że stosunek magnetyczny przedstawia się w postaci trójkąta. Będzie to *triangulus magneticus*<sup>124</sup>, którego szczytem jest Kama, zaś wierzchołkami przypodstawowymi: woda w tym naczyniu i owo nieznane X, na które wskazuje krótszy palec przyrządu.

— Lecz w jaki sposób skorzystasz ze wskazówki? Naczynie cię chyba samo nie weźmie za rękę i nie zaprowadzi?

— Coś w tym rodzaju. Odegra ono rolę astralnego kompasu, który odpowiednio ustawiony zawiedzie aż na miejsce.

<sup>120</sup>*ukarina* — okaryna, ludowy instrument dęty wykonany z gliny. [przypis edytorski]

<sup>121</sup>*rapport* (fr.) — łączność, związek. [przypis edytorski]

<sup>122</sup>*protoplazma* — materia, z której składają się komórki żywych organizmów. [przypis edytorski]

<sup>123</sup>*tertium associationis magneticae* (łac.) — trzeci element związku magnetycznego. [przypis edytorski]

<sup>124</sup>*triangulus magneticus* (łac.) — trójkąt magnetyczny. [przypis edytorski]



— Właśnie chodzi o to ustawienie. Przy kompasie zwyczajnym wystarczy obrócić o pewien kąt tarczę ze stronami świata umieszczoną pod igłą, aby jej kierunek uzgodnić ze strzałką wskazującą Północ. Ale tu?... Kama jest przecież biegunem ruchomym, zmieniającym wciąż swe położenie.

— Za to owo nieznanne X zdaje się być punktem stałym.

— Rzeczywiście?

— Od dnia, w którym rozpocząłem analizę, tj. temu już parę miesięcy, aż do dziś rana krótsze ramię odgałęzienia ciągle odchyła się o ten sam kąt od pionu, podczas gdy przeciwnie ramię dłuższe ustawicznie zmienia kierunek.

— I to właśnie naprowadziło cię zapewne na domysł, że ono wskazuje na Kamę, co?

— Po części to, po części intensywność jego zasięgu.

— Mimo wszystko jednak to jeszcze nie wystarczy, by zaprowadzić nas do owego X.

— Niewątpliwie. By rozciąć te wątpliwości, powiem ci wprost, że z tego kompasu może korzystać tylko człowiek w stanie somnambulicznym<sup>125</sup>.

— W takim razie przyrząd odgrywa tylko rolę czynnika pomocniczego.

— Niemniej jednak decydującego; bez niego nie dotrę do punktu związanego w sposób tajemniczy z istotą Kamy. Muszę go mieć ciągle pod ręką, by bez przerwy wyczuwać ruchy fluidów w nim zawartych.

— A zatem ostatecznie „kompas” będzie tobą kierował?

— Naturalnie. Lecz przede wszystkim musisz mnie wprawić w stan konieczny do przeprowadzenia operacji. Sposób znasz?

— Tak. Zrobiłem przecież z tobą już parę podobnych doświadczeń.

— Tak — ale nie zapominaj o tym, że ani razu nie wychodziliśmy poza obręb hipnozy; teraz chodzi o stan głębszy.

— Rozumiem. Bądź spokojny; potrafię.

— Dobrze więc. Zaraz zaczynamy. Pora dobra, wieczorna; w mroku nie będziemy zwracali na siebie uwagi przechodniów. Gdy zasną, wyprowadzisz mnie przed dom za furtkę ogrodową.

— Nie odstąpię cię ani na krok.

— Kto wie, dokąd zajdziemy. Może to być tuż obok, ale może też być w odległości kilku kilometrów albo i więcej. Musisz się przygotować na daleką drogę.

— Pójdę wszędzie z tobą.

— Jeszcze jedno. Gdy staniemy u celu, obudzisz mnie.

— Dobrze. Czy mam zacząć?

— Zaczynaj!

Wierusz ujął w palce lewej ręki astralny kompas ukrywszy go w dłoni, usiadł na krześle i przez chwilę wpatrywał się nieruchomo w kopię Rembrandtowskiej *Lekcji anatomii* na ścianie naprzeciw. Staiałem o parę kroków przed nim i zacząłem go usypiać. Po szóstym pociągnięciu przymknął oczy, wydając głębokie westchnienie. Zrobiłem jeszcze parę passów<sup>126</sup>, by stan utrwalić, po czym zacząłem go pogłębiać w kierunku zamierzonym. Po upływie pięciu minut białka oczu podeszły w górę i śpiący odzyskał charakterystyczną swobodę ruchów i mowy. Wyjąłem szpilkę z krawata i nakłułem mu lekko skórę na policzku.

— Czy odczuwasz ból?

Uśmiechnął się przez sen.

— Ani śladu.

Ponowiłem próbę na przedramieniu z tym samym rezultatem. Andrzej ani drgnął. Chociaż przebiłem mu skórę na wylot, nie wyciekła ani kropla krwi.

— *All right!* — szepnąłem zadowolony. — Teraz wstaniesz i pójdziesz za mną.

I wyprowadziłem go przez ogród na ulicę.

Był już wieczór. Płonąca koło willi latarnia rozrzuciła wkoło matowe poblaski. W powietrzu wisiała gęsta, zsiadła mgła, skraplając się leniwo na bruk... Było cicho. Od czasu do czasu wynurzał się z mgły jakiś przechodzień, wkraczał na chwilę w krąg światła i wsiadł znów w mgłę z powrotem. Gdzieś w oddali dudniły tramwaje.

<sup>125</sup>stan somnambuliczny — stan hipnozy. [przypis edytorski]

<sup>126</sup>passy — ruchy rąk służące wywołaniu hipnozy bądź wywieraniu wpływu na zahipnotyzowaną osobę. [przypis edytorski]

Wierusz stał na chodniku niezdecydowany. Odstąpiłem na parę kroków, zostawiając mu zupełną swobodę.

Wyciągnął ramiona poziomo i rozpostarł je szeroko jak skrzydła ptaka. Skurczone palce lewej ręki rozwarły się, odsłaniając kompas na dłoni... Powoli, jak ślepiec, zaczął obracać się na miejscu, badając przestrzeń. Po trzecim półobrocie w prawo zawahał się i powrócił w poprzednią pozycję; po chwili znów wychylił się w tamtą stronę i znów cofnął w lewo. W końcu stanął na miejscu, opuścił ramię prawe i znieruchomiał. Wyprężona ręka lewa wskazywała coś uparcie w dali. Na usta wybiegł uśmiech zadowolenia. Znalazł...

Przyrząd na dłoni śpiącego drgnął i jakby poruszany ukrytą wewnątrz siłą, obrócił się o pewien kąt, ustawiając krótszym smoczkiem w kierunku palca wskazującego. Kompas zaczął działać...

Andrzej wciągnął ostrożnie ku sobie wyprężone ramię i zamykając z powrotem dłoń, położył palec na krótszej wskazówce przyrządu. Jakiś czas jeszcze stał na miejscu bez ruchu, wsłuchując się w przestrzeń, a potem ruszył na przelaj przez ulicę w kierunku wskazanym.

Poszedłem za nim. Tak przeszliśmy na ukos Parkową, przemierzaliśmy plac Solarny i skręciliśmy w dół na Stromą. Droga prowadziła wyraźnie w stronę wybrzeża.

Co pewien czas, zwłaszcza tam, gdzie kierunek ulegał zmianie, Andrzej zatrzymywał się i radził kompasu. Czują przyrząd ostrzegał go przy każdym zakręcie.

Zagłębiliśmy się w labirynt wąskich, małych uliczek nad rzeką. Tu było ludniej. Co chwila wypadły z zaułków podejrzanе postaci ludzkie o spojrzaniach niepewnych, ponurych, z piętnem zbrodni na czole. Raz, gdy mijaliśmy jeden z tych plugawych zaułków oświetlony światłem rozhułanej w tańcu oberży, zaczął mnie jakiś pijany włóczęga:

— A pan co tu robisz w naszej stronie, hę? Ślepca prowadzasz na sznurku po przoszonym chlebie, co? Musieliście pewnikiem dużo nazbierać grosiwa, bo obaj wyglądacie niezgorsza. Może byście się ta ze mną podzielili, hę? Trzeba tego starego drania trochę obmacać po kieszeniach; może się ta co wydukwi.

I byłby już wprowadził w czyn swe pobożne intencje, gdyby nie zimny błysk lufy mego browninga, którym mu poświęciłem między oczy.

— Psiakrew! Cholery ostrożne! — zaklął, schodząc nam z drogi.

Weszliśmy w długą, wąską sień. Było ciemno tu, choć oko wykol. Zapaliłem czerwoną latarkę. Purpurowa struga światła padła na deski podłogi spróchniałe, brudne, rojące się od wykrotów. Korytarz zdawał ciągnąć się bez końca; plugawę, odarte z wapna ściany, zamknięte w górze beczkowatym sklepieniem, wydłużały się w dal czarną perspektywą. Szła stamtąd na nas stęchlizna i zaduch. Lecz Wierusz nie cofnął się. Przeciwnie; krok jego teraz stał się pewniejszym, ruchy nabrały samodzielności. Widocznie zbliżaliśmy się do celu. Wtem sień załamała się ostro na prawo, a równocześnie grunt zaczął raptownie opadać w dół. Skierowawszy promień latarki na poziom nóg, przekonałem się, że podłoga skończyła się: pod stopami mieliśmy teraz miałki, żółty piasek. Korytarz zwęzał się w tym miejscu do rozmiarów ciasnego przewodu; trzeba było iść „gęsiego”. Uczulem dojmujący chłód wilgoci. Ze ścian sączyła się strużkami woda i wsiąkała w grunt. W pewnym miejscu natrafiliśmy na kałużę błota, którą musieliśmy przejść w bród. Wtedy domyśliłem się, że jesteśmy w podziemiach pod korytem rzeki...

O tych podziemiach chodziły po mieście tylko głuche wieści. Ludzie mówili, że ciągną się one milami wzdłuż i w poprzek pod poziomem Druczy, lecz że nikomu dotychczas nie udało się znaleźć wejścia do tajemnych korytarzy. Przypadek chciał, że najniespodziewaniej w świecie wtargnęliśmy do podrzecznego błędnika<sup>127</sup>... Wnosząc z długości drogi, już parę razy dotarliśmy z Andrzejem do przeciwległego brzegu Druczy, by znów zawrócić ku środkowi koryta; chodnik wił się w tysiączne zygzaki, uskakiwał to w prawo, to w lewo, kluczył jak kaprys szaleńca. Po półgodzinnej wędrówce zaczęliśmy schodzić po kamiennych schodach niemal prostopadle w dół, w jakiś głęboki, wilgotny szyb. Po paru minutach znaleźliśmy się na poziomie. Tutaj Wierusz zatrzymał się.

Podniosłem w górę latarkę. Byliśmy u celu; mała, kwadratowa przestrzeń, zamknięta zewsząd ścianami, nie miała innego wyjścia prócz wąskiego szybu, którymśmy się tutaj dostali. Dookoła, pod ścianami stały spiętrzone beczułki, drewniane, mocno w żelazo

<sup>127</sup>błędnik — tu: labirynt. [przypis edytorski]

okute paki, pęki skór wyprawionych i postawy<sup>128</sup> sukna. W powietrzu czuć było okowitę, skisłe piwo i jucht.

Nagle, rzuciwszy okiem w kąć izbicy, zadrzałem. Na tapczanie w niszy muru spoczywały rozciągnięte zwłoki ludzkie; na wiązce słomy, w czapce rybackiej naciśniętej nisko na czoło, leżał zeszywniały w skurczu śmierci mężczyzna. W oczach wywróconych białkami ku górze zastygł strach. Z zapadniętej głęboko twarzy sterczały kości policzkowe ostro, niemiłosiernie, wyzywająco. Z półotwartych ust wychylał się język długi, wąski, czarny jak węgiel...

Śmierć nastąpiła prawdopodobnie niedawno, bo trup nie zdradzał jeszcze śladów rozkładu. Czy zginął z głodu?... Chyba nie; na stolku obok tapczanu leżało pół bochenka chleba spleśniałego już od wilgoci i stała miska z jarzyną. — Więc może z uduszenia? Może zasza tu jakaś straszliwa zbrodnia, ukryta bezpiecznie przed światem w tym ponurym miejscu, jakich sześć metrów pod dnem rzeki?...

Zbliżyłem się do Andrzeja i lekko dmuchnąłem mu między oczy. Obudził się i spojrzał przytomnie.

— Odpocznij chwilę — rzekłem, przysuwając mu stółek.

— Rzeczywiście potrzebuję odpoczynku — odpowiedział siadając. — Trochę mnie to za silnie wyczerpało. Gdzie jesteśmy?

— Prawdopodobnie parę metrów pod korytem Druczy. Nie jesteśmy sami...

— Jak to?

— Mamy towarzysza.

I puściłem snop czerwonego światła w kąć izby.

— Jakiś uduszony rybak.

Wierusz porwał się z miejsca ku zwłokom.

— To jest człowiek, którego szukamy — zawołał, wlepiając w twarz leżącego swe głębokie, badawcze spojrzenie.

— Niestety, człowiek ten nie żyje.

— Mylisz się, Jerzy! On tylko śpi.

— Żartujesz.

I przyłożyłem ucho do piersi nędzarza.

— To trup — oświadczyłem po chwili. — Serce ani drgnie.

— A jednak mimo wszystko utrzymuję, że człowiek ten nie umarł, lecz pogrążony jest od dłuższego już czasu, może od miesięcy, może nawet od lat w śnie podobnym do letargu.

— Masz zamiar go obudzić?

— Na razie nie leży to w mojej mocy.

— Więc może go stąd wynieść?

— To by narobiło nam dużo kłopotu i sprawa mogłaby nabrać niepożądanego rozgłosu. Lepiej zostawić go do czasu w tej kryjówce.

— Ale w takim razie niczego się od niego nie dowiemy. Jeżeli on rzeczywiście pozostaje w jakimś związku z Kamą...

— Na pewno tak, lecz wątpię bardzo, czy umiałby nam coś o niej powiedzieć. Najprawdopodobniej człowiek ten nigdy w życiu swym Kamy nie widział; przynajmniej w stanie swym normalnym na jawie. O tym zaś, co obecnie przeżywa jego jaźń poza obrębem ciała, albo całkiem zapomni po przebudzeniu, lub też wspomnienia będą tak mętne i powikłane, że zamiast pomóc, utrudnią nam tylko zadanie.

— W rezultacie zatem musimy czekać na zmianę stanu.

— Można ją wywołać sztucznie. Właśnie ten stan rzuca ciekawe światło na całą sprawę. Kto wie, czy podejrzenia, jakich nabrałem co do Kamy, nie zaczynają się tu realizować?

— Czy nie podzielił się ze mną swoimi przypuszczeniami?

— Na razie nie. Nie lubię wypowiadać głośno hipotez, których nie mogę poprzeć bezpośrednim doświadczeniem. Musisz się zdobyć na cierpliwość, Jerzy. Powrócimy tu niebawem, może za tydzień, gdy będę odpowiednio przygotowany. Teraz czas nam wracać; pora i tak bardzo późniona.

<sup>128</sup> *postaw* (daw.) — jednostka miary powierzchni tkaniny. [przypis edytorski]

Spojrzał raz jeszcze na zeszywniały kształt ludzki, dotknął palcem jego skroni i skierował kroki ku wyjściu. Wyprzedziłem go, by rozświetlać drogę latarką. Szliśmy szybko i pewnie, bo chodnik, lubo<sup>129</sup> kręty, nie rozwidlał się nigdzie. Jakież było moje zdumienie, gdy po dziesięciu minutach wyszliśmy po jakiejś pochylni na powierzchnię ziemi w miejscu oddalonym od zaułków nadbrzeżnych o kilka kilometrów... Nad nami świecił jasno księżyc, dookoła nas czerniły się krzaki jałowcu.

— Rzecz dziwna — odezwałem się pierwszy — wchodziliśmy przez jakąś plugawą sień w jednym z nadbrzeżnych domów, wychodzimy zaś tą piwnicą o parę kilometrów na wschód, w czystym polu!

— Widocznie jest podwójne wejście.

— Widocznie.

— I to drugie bezpieczniejsze od tamtego, bo poza miastem i dobrze ukryte w chaszczach.

— Rzeczywiście. Jesteśmy otoczeni wokół zwartym żywopłotem, przez który trzeba się będzie przemocą przedzierać.

— Tu była wąska przesiecz — odpowiedział Wierusz, badając grunt pod nogami. — Lecz zarosła już prawie zupełnie.

— Znać<sup>130</sup> od dawna już nikt nie używał tej ścieżki.

— Niewątpliwie. Lecz może się jakoś tędy przebierzemy. Toruj drogę jako młodszy!

Wtargnąłem w gąszcz krzewów i wkrótce znaleźliśmy się obaj na rozległym, trawą i zaroślami podszytym wygonie. O sto kroków od nas szumiała w ciszy nocnej Drucz...

## PRZYGOTOWANIA

Najbliższy tydzień upłynął niemal cały na przygotowaniach. Pracownia Wierusza wyglądała w tym czasie jak średniowieczne laboratorium alchemika. Od rana do późnej nocy huczał ogień w Athanorze, perkotało w tyglach, pieniały się szumami retorty. Andrzej, ubrany w skórzany fartuch, z heksagramem na piersi, uwijał się jak nowożytny Paracelsus pomiędzy rozstawionymi garami, dziwaczного kształtu alembikami<sup>131</sup> i słojami, mieszał jakieś płyny, warzył, prażył, przecedzał. Trzy razy na dzień byłem świadkiem ceremoniału ablucji. Wśród szeptu rytualnych modlitw zmywał Wierusz ręce olejkami z werweny, ruty i wawrzynu. W godzinach przedpołudniowych okadzało się pracownię mieszaniną z lauru, kamfory, żywicy, soli i siarki. Na stole suszyły się pęki ziół, napełniając wnętrza odurzającą wonią mięty, szaławii i barwinku. Wśród dymu kadzideł i alchemicznych zaklęć, ujętych w lapidarną łacinę, przeglądał Andrzej szkatułę z tajemniczymi przyrządami; z wnętrza połyskiwały glewie<sup>132</sup> szpad z napisami w alfabecie hermetycznym, lśniły chłodem stali brzeszczoty dag<sup>133</sup>, sztyletów, złote i srebrne czasze z inkrustacjami w znaku siedmiu planet, wyzierały pióra wielkich ptaków, różdżki magiczne, fantastyczne trójzęby...

Odkładał jedne, oczyszczał z pyłu drugie, kombinował, brakował<sup>134</sup>, dobierał...

Któregoś dnia otworzył wielką orzechową szafę, pełną rytualnych strojów.

— Oto szata, którą powinien mieć na sobie mag przystępujący do dzieła w niedzielę — rzekł wskazując na pierwszy z brzegu strój barwy purpurowej. — Głowę jego zdobi w ten dzień tiara i złote naramiennice.

Ten biały, lamowany srebrem płaszcz z potrójnym naszyjnikiem z pereł, kryształu i selenitu, przeznaczony na poniedziałek, tj. na dzień Księżyca; tiarę maga otacza wtedy wstążka z żółtego jedwabiu z monogramem Gabriela w języku hebrajskim; naramiennice są srebrne.

A oto szata na wtorek, dzień Marsa. Ta właśnie będzie nam potrzebna.

I zdjął z wieszadła fałdzisty płaszcz w kolorze ognistordzawym, ściągnięty w połowie pasem ze stali.

— Znamienna barwa — zauważyłem, oglądając strój.

<sup>129</sup>lubo (daw.) — chociaż. [przypis edytorski]

<sup>130</sup>znać (daw.) — widocznie. [przypis edytorski]

<sup>131</sup>alembik — naczynie służące do destylacji cieczy. [przypis edytorski]

<sup>132</sup>glewia (daw.) — klinga. [przypis edytorski]

<sup>133</sup>daga (wł.) — odmiana krótkiego sztyletu. [przypis edytorski]

<sup>134</sup>brakować (daw.) — wybierać. [przypis edytorski]

— Krwawa — jak na Marsa przystało. Garnitur uzupełniają stalowe naramiennice i tiara opasana wstęgą z żelaza.

— Płaszcz ten przypomina mi trochę *palium*<sup>135</sup> rzymskich Saliów, którzy w podobnym rynsztunku odprawiali wojownicze tańce — *tripudia*<sup>136</sup> po ulicach Romy.

— Nic dziwnego; płaszcz kapłanów Marsa służył tu za wzór.

Zamknął szafę i przewiesiwszy płaszcz przez poręcz fotelu, wydobył z biurka zgrabny, łosiową skórą obity kuferek.

— A to co?

— *Écrin magique*<sup>137</sup>. Nie wiem doprawdy, jak ci to przetłumaczyć na polski. Jest to jeden z tych specyficznie francuskich wyrazów, których przekład na inny język o rozpacz przyprawia pedantów dosłowności. — *Ecrin* — coś w rodzaju skrzynki na klejnoty, uważasz?

I przekręcił kluczyk w zamku. Odskoczyło sprężynowe denko, odsłaniając przepiękny, mieniący się barwami tęczy zbiór sygnetów i pierścieni.

— Ten ze złotą osadą — wyjaśniał, wskazując kolejno klejnoty — z rubinem w licu zdobi rękę adepta w niedzielę. Ten z chryzolitem i jego sąsiad z berylem sięją złoto-zielone blaski w dzień Luny... Agat — to kamień Merkurego; czerni się na palcu maga w środę. Szmaragd jest klejnotem Jowisza i dlatego nosi go się na palcu w czwartek; czasem może go wyręczyć sygnet szafirowy, gdy pora spokojna, a dusza operatora w pełni równowagi. — Władczyni piątku, słodko uśmiechnięta Wenus, rozmiłowana jest w turkusie i lapis-lazuli. Pierścień z onyksu przeznaczono na dzień Sabatu.

— To znaczy na dzisiaj?

— Tak, lecz dzisiaj nie jestem jeszcze dostatecznie przygotowany do podjęcia operacji.

— Domyślam się, że przesunąłeś termin na wtorek; tak przynajmniej każe wnioskować płaszcz marsowy, który wydobyłeś z szatni.

— Zgadłeś. Teraz musimy dobrać odpowiadający mu sygnet.

I włożył na palec ciemnofioletowy, ujęty w skromną stalową oprawę ametyst.

W czasie tych przygotowań byłem niemal nieodstępnym towarzyszem Andrzeja. Po co mu właściwie potrzebna była moja obecność, do dziś dnia nie wiem. Bo „pomoc” moja ograniczała się do paru błahych i drugorzędnych czynności, pozostających tylko w luźnym związku z tym, co zamierzał. Przypuszczam, że głównie chodziło mu o to, ażebym zajął się przez tych parę dni sprawami gospodarskimi, których nie chciał w tym czasie powierzać komu innemu; jedyny sługa, Grzegorz, który dotychczas spełniał te funkcje, zniknął gdzieś z domu bez śladu.

Zrozumiawszy, że przyjaciel mój pragnie w tym czasie zredukować stosunki z otoczeniem do minimum, chętnie podjąłem się zadania, choćby ze względu na to, że to ja właściwie wywołałem ten przewrót w trybie jego życia. Mimo usiłowań i prób wydobycia od niego bliższych wyjaśnień co do istoty zamierzonej operacji magicznej, o której ciągle wspominał, nie zdołałem dowiedzieć się niczego określonego. Wierusz zamknął się w sobie i milczał jak grób, ilekroć starałem się wyciągnąć go na słowo.

Wreszcie w poniedziałek rano kazał mi zabrać się na cały dzień z domu.

— Wybacz, Jur — usprawiedliwiał się — że cię stąd wypędzam, lecz w interesie „sprawy” muszę pozostać aż do wieczora zupełnie sam. Potrzebuję skupienia.

— Rozumiem i wynoszę się.

— Ale wieczorem, koło dziewiątej, musisz wrócić koniecznie! Pamiętaj! Do widzenia, Jur!

— Do widzenia! Stawię się w słowie.

I wyszedłem.

Poranek był jasny, majowy. Od rzeki płynęła ledwo dostrzegalna szreżoga<sup>138</sup> mgły, rozwodząc się nad miastem przejrzystym welonem. Na wiosennym niebie kąpały się w słońcu obłoki, płynął cicho wrażonym w południe ostrzem klucz jaskółek. Nad bulwarami krążył dwupłatowiec, połykując pod słońce białym podbrzuszem łodzi. Cygara

<sup>135</sup>*palium* — rzymski gruby płaszcz. [przypis edytorski]

<sup>136</sup>*tripudia* (łac.) — tańce wojenne oparte na trzech krokach. [przypis edytorski]

<sup>137</sup>*écrin magique* (fr.) — magiczna szkatułka. [przypis edytorski]

<sup>138</sup>*szreżoga* — światło przeświecające przez mgłę a. dym. [przypis edytorski]

fabrycznych kominów wypuszczały z gardzieli sznury dymów, długie, wlokące się równolegle do poziomu pióropusze-proporce. Grzbietem wzgórze za miastem od strony Zaklicza mknął na północ jakiś pociąg...

Nie wiadomo jak znalazłem się na wybrzeżu Druczy, daleko poza miastem. Miejsce było puste, odludne. Przed pięć laty, gdy stał jeszcze most, roilo się tu od wozów, koni i ludzi. Lecz od wiosny r. 1905, gdy kra uniosła środkowe przęsła, zamilkło życie w tej stronie. Nowy, żelazny most zbudowany bliżej miasta porwał je za sobą ku centrum. Na miejscu dawnej komunikacji pozostały tylko szczątki: betonowe podpory z tej i tamtej strony rzeki, fragmenty sztab, kikuty obłąków; ze środka koryta wystawały jeszcze tu i tam resztki żelaziwa zżarte przez rdzę, czerwone — bliżej brzegów jeżyły się z dna stalowe kolce, niebezpieczne dla łodzi porą nocną, zdradzieckie żeleźca, podruzgotane na szczapy przyporniki, trójkątne kobylice. W pewnej odległości od brzegu sterczał w mule rzeczonym na pół zasuty<sup>139</sup> już szlamem i wodnym chwastem bagier<sup>140</sup>, który służył przed laty do pogłębiania koryta. Teraz popsuty, stał beczynnie ogromny, rdzawoczarny, z „łyżką” zasuniętą głęboko w piasek.

Dawniej była tu przystań dla łódek i promów, którymi przeprawiano na drugą stronę rzeki skóry z miejskiej garbarni i spławiano drzewo z Zawiercia — od czasu zawalenia się mostu, gdy żegluga w tym pasie Druczy stała się ryzykowną, ustał ruch przewoźniczy, przesuając się ku południowi. „Stara spławnia” wyglądała teraz jak podmiejska rupiecarnia zardzewiałego żelaziwa, wyszłych z obiegu rzecznych przedmiotów, podziurawionych czółen, skołatanych wysługą lat szkut, korabi i flisów. Nikt teraz nie zapuszczał się w to miejsce; każdy skwapliwie unikał szczerzących się z dna grotów. Chyba kiedy niekiedy, nocami, przy blasku księżyca prześlizgiwał się tędy na łódce śmiały przemysłnik i mylił czujność nadrzecznych celników.

Na zboczu wybrzeża, w otoczeniu starych kryp, spoglądających ku niebu dziurami den, pośród stosów beczek, baryłek i porwanych na strzępy więcierzy stała samotnie jak wierzbza w skrajnym polu rybacka chata. Domostwo było nad wyraz nędzne: marna, zszyta byle jak z łodzich spodów kleć<sup>141</sup>. Ze ściany wychodzącej na rzekę wyglądała na świat kaprawym spojrzeniem brudna i opajęczona szyba okna. Drzwi zlatane ze spróchniałych burt czółna były zabite na glucho i podparte kamieniem. Znać mieszkanięc porzucił swą sadybę na czas dłuższy.

Zajrzałem przez okno do wnętrza. Świeciło niemal zupełną pustką; pod ścianą ława, w kącie kupa sieci, zresztą nic...

Poza mną odezwał się szelest kroków. Odwróciłem się i ujrzałem przed sobą rybaka z wędką w ręce, przepasanego wpół torbą, w której trzepotało parę świeżo złowionych pstrągów.

— Dzień dobry panu! — pozdrowił uprzejmie, zdejmując ciapkę.

— Dzień dobry! — odparłem, odpowiadając na ukłon. — To pańska chata?

— Broń Boże! To lotnisko Jastronia.

— Kolega po zawodzie?

— Niby tak, niby nie. Nie słyszał pan dotychczas nic o Jastroniu?

— Nie.

— Był to jeden z najęźszych w okolicy „szczurów wodnych”.

— „Szczur wodny” — to niby rybak, co?

Nieznajomy przymknął filuternie<sup>142</sup> oko:

— Tylko pewna osobliwa odmiana. W dzień robi usadkę na ryby, a nocami poluje na grubszego zwierza.

— Hm — chrząknąłem domyślnie.

— Rodzaj korsarza rzecznego, uważa pan, gatunek rabusia-pirata, który operuje na słodkich wodach.

— Rozumiem.

— Ho, ho! Kum Onufry Jastron był sprytnym chłopcem! Zwłaszcza w ciemne, burzliwe noce umiał być bardzo niebezpiecznym. Przed jego „Kleniem”, sławną na Druczy

<sup>139</sup>zasuty (daw.) — zasypany, tu: pokryty. [przypis edytorski]

<sup>140</sup>bagier (daw.) — pogłębiarka. [przypis edytorski]

<sup>141</sup>kleć — tu: nieudolnie sklecony budynek. [przypis edytorski]

<sup>142</sup>filuternie — figlarnie, prowokująco. [przypis edytorski]

krypą, mieli mores przewoźnicy i spławiacze skór. Nic to mu było niby to niechcący zahaczyć z tyłu bosakiem jaką beczułę pełną okowity lub piwa, ściągnąć z tratwy zakrzywionym krukiem bal z sukнем lub grypsnąć przemytnikowi pakę z tytoniem. Szczwany był lis i gracz nie lada! Wszyscy wiedzieli, że rabuś, a nikt mu nie mógł dowieść niczego! W tym właśnie cała sztuka, mospanie, żeby się nie dać złapać na gorącym. Musiał mieć gdzieś setną kryjówkę, bo w tej budzie ani w domu jego na mieście nigdy nic nie znaleziono. — Lecz wszystko ma swój koniec. Podobno i kuma Onufrego diabli wzięli.

— Jak to podobno?

— No tak, właściwie nie wiadomo, co się z nim stało. Dwa lata temu z górą, koło Zielonych Świątek, szedł bez śladu. Ja pierwszy to zauważyłem. Przechodzę, mospanie, jednego rana wedle tej budy, patrzę: zabita na śmierć bretnalami i przyparta na głucho. Myślę: Wyjechał na wyprawę w dalsze strony, w dół rzeki, czy co? Czekamy tydzień, dwa, miesiąc, rok — Jastronia nie ma. Przepadł bez śladu. Może go ta kto gdzie zaciukał.

— Niewielka byłaby strata.

— A juści, pewnikiem — zaśmiał się rybak. — Nosił wilk owce, ponieśli i wilka. Ale mnie czas na targowicę; ryba dobra, póki świeża. Do widzenia, panie!

— Do widzenia! Szczęśliwego targu!

— Dziękuję! — odkrzyknął oddalając się wybrzeżem ku miastu.

Usiadłem przed „letniskiem” na wywróconej dnem beczce. Przede mną toczyła burzliwe nurty Drucz, przerzucając się grzywami fal przez szczyty mostu. Zapatrzonej w ruch wody myślałem o Jastroniu. Nazwisko tego „szczura” wrażliło mi się głęboko w pamięć. To, co usłyszałem z ust rybaka, budziło pewne podejrzenia. Mimo woli nasunął się domysł, czy przypadkiem nie wpadłem na trop człowieka, którego znaleźliśmy z Wieruszem w podziemiach. Może on właśnie był zaginionym od dwu lat Jastroniem? Stosy pak z towarami, poustawiane wzdłuż ścian kryjówki, umocniły mnie w tym przypuszczeniu. Według wszelkiego prawdopodobieństwa wytropiliśmy podziemną norę „szczura wodnego”, który tutaj gromadził od lat swą zdobycz. Tylko jedna okoliczność zdawała się przemawiać przeciw tej hipotezie. Według tego, co utrzymywał rybak, należało przyjąć, że stan, w jakim zastaliśmy Jastronia, trwał już od lat dwu. Czy to możliwe? Tu przypomniałem sobie, że Andrzej nie wykluczał czegoś podobnego. Owszem, pamiętam, jak energicznie odrzucił moją supozycję co do rzekomej śmierci nieznanego mężczyzny, twierdząc z uporem, że nie umarł, lecz że jest pogrążony w śnie podobnym do letargu może od miesięcy lub nawet lat. W każdym razie postanowiłem mu rzecz całą zakomunikować. Kto wie, czy mu się ta wiadomość na co nie przyda i jakie z niej wyciągnie wnioski?

Na razie jednak musiałem czekać. Godzina była jeszcze wczesna i nie mogłem wbrew woli Wierusza niepokoić go przed czasem. Lecz dzień dłużył mi się okropnie. Po parogodzinnej przechadzce po wybrzeżu zjadłem obiad, wypaliłem całą stertę papierosów i nie mogąc doczekać się wieczora, poszedłem do teatru na przedstawienie popołudniowe. Grano jakąś głupią, jak zresztą przeważnie u nas, komedię pełną „aktualnych” aluzji politycznych. Publiką, zachwyconą tanim dowcipem i płytkim humorem ulubionego autora, wybuchała regularnie co parę minut szerokim, homeryckim śmiechem, który podobno jest zdrowy, bo pomaga przy trawieniu i utwierdza w zwierzęcym błogostanie. Ponieważ polityka i wszelka „aktualność” mierzą mnie kaducznie<sup>143</sup> i odczuwam żywiołowy wstręt do wszystkiego, co „ich jest” i z nich się wywodzi, przeto opuściłem „świętynię sztuki” już w połowie aktu drugiego zły i diabelnie znudzony. Resztę czasu postanowiłem dobić w kawiarni „Nad Druczą”. Trafił się partner do szachów i wkrótce zagłębiliśmy się obaj po uszy w arkanach gry. Ani się spostrzegłem, jak minęło parę godzin i zbliżała się dziewiąta. Zakończywszy zwyczajną czwartą z rzędu partię, pożegnałem się i wyszedłem. W dziesięć minut potem byłem już u Wierusza.

Wiadomość o Jastroniu przyjął z zainteresowaniem.

— Przypuszczenie twoje — rzekł — ma dużo cech prawdopodobieństwa.

— Czy tylko możliwym jest, by letarg trwał tak długo?

— Dlaczego nie? Fakirzy Wschodu dają się zakopywać do ziemi na okres paru lat.

— Czy przypuszczasz, że Jastronń popadł w swój dziwny sen dobrowolnie, czy też bez jego wiedzy i woli uspił go ktoś inny?

<sup>143</sup>kaducznie (daw.) — diabelnie. [przypis edytorski]

— Przypuszczam raczej, że owa szczególna śpiączka, w której trwa do chwili obecnej, napadła go nagle, znienacka.

— A zatem przyczyna tkwiłaby w nim samym, w jego ustroju psychofizycznym?

— Tak się domyślam.

— W każdym razie objaw niezwykle u człowieka tego typu.

— Mnie zaś nie wydaje się to niezwykłym u osobnika tego pokroju. Przeciwnie — ludzie typu Jastronia może łatwiej ulegają podobnym anomaliiom niż zwykle, „porządne” przeciętniaki.

— Dlaczego?

— Bo częściej przechodzą po nich burze namiętności, które wstrząsając potężnie ich ustrojem, wywołują w następstwie anormalne stany.

— A zatem według ciebie Jastron zapadł w sen pod wpływem silnego wstrząsu nerwowego?

— Jeśli nie wstrząsu, który może tu jest wyrażeniem za silnym, to w każdym razie pod wpływem chwilowego napięcia nerwowego.

— Co? Ten „szczur”, ten rzezimieszek?

— Kto wie, czy w tym człowieku nie drzemią gorsze, stokroć mocniejsze namiętności? Kto nam zaręczy, czy na parę godzin przed zaśnięciem nie nosił się z zamiarem popełnienia zbrodni?

— Słyszałem coś o tym. Zaobserwowano podobno, że zbrodniarze po dokonaniu czynu zapadają nieraz w głęboki sen, trwający bez przerwy kilkanaście godzin. Przyczyna leży zdaje się w wyczerpaniu nerwowym.

— To samo może mieć miejsce i *przed* spełnieniem zbrodni; decyzja, ów skok na ślepo w otchłań zło czynu, też musi wyczerpywać ogromnie. Organizm wysiłony walką, która go poprzedza, szuka pokrzepienia w śnie — szuka tym skwapliwiej, że stoi u progu ponurych ziszczeń i potrzebuje sił...

— I zapada w sen...

— Który ze zwykłego może w podobnych okolicznościach zamienić się na stan letargiczny, podobny do transu.

— Czy grozi mu wskutek tego jakie niebezpieczeństwo?

— Nie, o ile go żywcem nie pogrzebią, lecz pozostawią w spokoju aż do chwili przebudzenia się. Niestety, nieraz zachodzą tu straszliwe pomyłki. Może się też zdarzyć, że dusza śpiącego nigdy już w ciało nie powróci.

— Dobrowolnie?

— Z własnej woli lub wskutek tego, że jakaś inna monada<sup>144</sup> duchowa spragniona inkarnacji skorzysta z nieobecności właściciela i wkradnie się w opuszczone chwilowo przezeń ciało.

— Wtedy chyba następuje przebudzenie?

— Oczywiście, lecz z cudzą jaźnią. Budzi się całkiem nowy, obcy otoczeniu człowiek, tylko wyglądem fizycznym podobny do tamtego.

— To są szalone hipotezy!

— Nie, mój kochany, to są fakta — rzadkie wprawdzie, ale fakta.

— Lecz o Jastronia możemy być spokojni; samiśmy się przekonali naocznie, że nikt dotychczas nie zląkomił się na jego marną cielesną powłokę.

— Na ciało fizyczne nie, ale kto wie, czy nie na jego astral<sup>145</sup>, na ten eteryczny łącznik między duszą a ciałem, który hinduska joga określa terminem Linga Sharira?... Z tej fluidycznej protoplazmy może Duch utworzyć sobie *dowolną* postać, nadając jej ludzkie pozory ciała fizycznego. Czy byłeś kiedy świadkiem materializacji mediumicznej?

Zanim zdołałem odpowiedzieć, usłyszeliśmy trzykrotne uderzenie w drzwi od korytarza. Wierusz popatrzył na mnie:

— Kto to być może teraz, o tej godzinie?

Pukanie powtórzyło się.

— Proszę — odpowiedział Andrzej z niechęcią.

<sup>144</sup>monada (gr.) — podstawowa substancja duchowa, z definicji niezależna od wpływów otaczającej rzeczywistości (pojęcie z filozofii G. W. Leibniza). [przypis edytorski]

<sup>145</sup>astral (łac.) — wg spirytystów eteryczne ciało ożywiające organizm fizyczny i wiążące duszę z ciałem. [przypis edytorski]



Wszedł mężczyzna imponującej postawy, rosły, barczysty, wytworny w ruchach. Rzucałszy na mnie przelotne spojrzenie, skupił całą swą uwagę na Wieruszu.

— O ile się nie mylę — rzekł powoli, z akcentem jakby cudzoziemskim — mam zaszczyt rozmawiać z panem tego domu?

Wierusz powstał z krzesła:

— Tak. Z kim mam przyjemność?

Nieznamy uśmiechnął się dziwnie.

— Przyjemność wątpliwego rodzaju. Mniejsza o moje nazwisko. Ja pańskiego również nie znam i znać nie chcę. Są sytuacje w życiu, w których te towarzyskie dodatki winny odpaść. Przychodzę tu jak człowiek do człowieka w chwili wyjątkowej. Sądzę, że panu tego nie potrzebuję tłumaczyć. Musisz być rzeczywiście jednostką niezwykłą, jeśli zdecydowałem się na ten krok wobec pana.

Słowa gościa widocznie podziałały silnie na Andrzeja, bo twarz jego dotychczas roztrągniona i niechętna nabrała wyrazu skupienia.

— Proszę — wskazał mu krzesło — może pan zechce zająć miejsce?

— Dziękuję — nie zabiorę panu dużo czasu; załatwię sprawę w kilku słowach.

— Słucham pana.

— Przychodzę *przebaczyć* panu krzywdę, jaka wkrótce ma mnie spotkać z pańskiej strony.

Wierusz drgnął.

— Krzywdę? — powtórzył jak przez sen. — Jaką krzywdę?

— Szczegółów nie znam. Pchany nieznaną siłą, przyszedłem to panu powiedzieć. Cokolwiek się zdarzy, *przebaczam* panu. Znać porządek moralny świata wymaga tego ode mnie. Może nieszczęście, które wkrótce, może dziś jeszcze, ma mnie dotknąć z pańskiej przyczyny, jest *ekspiacją*<sup>146</sup> mych win... Moich wielkich, ciężkich win — dodał ciszej, pochylając głowę.

Wierusz błady jak płótno wyszeptał głosem głęboko wzruszonym:

— Dziękuję panu.

Gość wyciągnął doń rękę:

— Żegnaj mi!

Uścisnęli się w milczeniu. Po chwili znów pozostaliśmy samowtór<sup>147</sup> z Andrzejem.

Przyjaciel mój zamyślony i smutny przemierzał pokój nerwowymi krokami; chmura bólu osiadła na jego zwykle pogodnym, olimpijskim czole.

Usiłowałem rzecz obrócić w żart.

— To jakiś wariat — ośmieliłem się na lekkomyślną uwagę.

Spojrzał na mnie poważnie, prawie surowo. Więc zmieszałem się i zamilkłem...

## ZAKŁĘCIE CZTERECH

Zastaliśmy go w pozycji sprzed tygodnia; tylko policzki śpiącego zapadły się głębiej i ciało stało się podobniejsze do wyschłej drzazgi.

Zaświeciłem na sklepieniu trzy lampy z oliwą i łagodne światło rozlało się po wnętrzu. Wierusz rozpakował tobole, przyniesiony przez nas we dwójkę z Parkowej do podziemnej kryjówki. Zaczęliśmy wyjmować przybory i rozstawiać na pakach pod ścianami. Andrzej podał mi srebrną kadzielnicę i polecił napełnić łódkę mieszaniną wawrzynu, soli i żywicy. Sam wdział szatę barwy hematytu<sup>148</sup> ściągniętą w połowie pasem ze stali, zamknął w zartzaski powyżej łokcia spinki żelaznych naramiennic i nałożył na głowę wieniec z ruty i lauru.

Wręczyłem mu dymiącą kadzielnicę. Zawahał nią parę razy, zwracając się na wszystkie cztery strony świata.

— *Tibi sunt Malchut et Geburah et Chesed per aeonas*<sup>149</sup>! — szeptały usta sakramentalne słowa rytuału.

<sup>146</sup> *ekspiacja* — zadośćuczynienie. [przypis edytorski]

<sup>147</sup> *samowtór* (daw.) — we dwójkę. [przypis edytorski]

<sup>148</sup> *hematyt* — minerał zawierający duże ilości rudy żelaza. [przypis edytorski]

<sup>149</sup> *Tibi sunt Malchut et Geburah et Chesed per aeonas!* (łac.) — Niech przez eony staną na twoje usługi Malchut i Geburah i Chesed. [przypis edytorski]

Wśród kłębow żywnego dymu postać maga zda się urosła do nieludzkich kształtów i uniosła się w górę.

— Michael, Gabriel, Rafael, Anael!

Odłożył kadzielnicę i rozpuszczoną na płyn minią z węglem zakreślił na ziemi szerokie, czerwone koło. Na jego obwodzie w czterech punktach, odpowiadających stronom świata, pojawiły się wizerunki: nietoperza z napisem: Berkaial, czaszki ludzkiej z dewizą: Amasarac, wolicz rogów z tajemniczym wyrazem Asaradec i kociej głowy w znaku Akibeec. Potem wpisał w koło kabalistyczny trójkąt, w którego wierzchołku umieścił wysoki, miedziany trójnóg z naczyniem kształtu wazy. Naprzeciw, w środku koła stanął ołtarz z muszlą na kadzidła.

— Przygotowania skończone — rzekł, wstępując w obręb koła. — Stań tu za mną po prawej stronie i cokolwiek ujrzysz, nie ruszaj się z miejsca! Nie wolno ci wychodzić ani na krok poza obwód czarnokręgu! Gdybyś z jakiegokolwiek powodu to uczynił, nie ręczę za następstwa.

— Zastosuję się do twojej rady — odpowiedziałem, zajmując wskazane mi miejsce u dolnego węgła trójkąta.

Na chwilę zapadło milczenie. Wierusz stał nieruchomo w środku rozstępu między ołtarzem a trójnogiem i wyciągnawszy poziomo ręce, z przymkniętymi oczyma, trwał w skupieniu modlitwy. Przyćmione światło lamp u stropu padało na twarz jego wychudłą, ascetyczną, ześlizgiwało się po kamieniach pektorału<sup>150</sup>, grało na siedmiu metalach magicznego heksagramu. A tam, w półcieniu niszy, na drewnianej pryczy rysował się sztywny kształt człowieka — dziwny kształt-zagadka...

Wtem Andrzej ocknął się. Zanurzył rękę strojną w sygnet z ametystu w skórzany worek u pasa i wydobywszy szczyptę kadzideł, rzucił ją w żar węgla jarzących się w muszli ołtarza. Buchnął płomień, uniosły się dymy; w powietrzu zapachniało mirrą i werwą. Mag sięgnął po czarę ze sproszkowaną strzyżką ziół, przechylił naczynie nad konchą trójnoga zakłęk i wysypał treść... Gęsty, szaro-żółty kłąb uniół się z magicznego trypodu<sup>151</sup> i zawisł pod sklepieniem; ucułem woń szaleju, lulka i mandragory...

Andrzej chwycił lewą ręką sztyletu, równocześnie ujmując w palce prawej ręki pantakl płomiennego pentagramu, symbolu władzy nad żywiołami.

— *Caput mortuum!*<sup>152</sup> — rozkazał mocnym głosem, skierowując dwa rogi pięcioramiennej gwiazdy ku trójnogowi. — *Imperet tibi Dominus per vivum et devotum serpentem...*

*Cherub! Imperet tibi Dominus per Adam-Jotchavah!...*

*Aquila errans! Imperet tibi Dominus per alas Tauri!...*

*Serpens! Imperet tibi Dominus tetragrammaton per angelum et leonem!...*

*Michael, Gabriel, Rafael, Anael!*

*Fluat Udor per spiritum Eloim!*

*Maneat terra per Adam-Jotchavah!*

*Fiat firmamentum per Jahve-Zeaoth!*

*Fiat iudicium per ignem in virtute Michael!...*

Przerwał i oczyma wzniesionymi ku sklepieniu śledził ruch dymów... Wysnuwały się leniwo podwójną kolumną z ołtarza i trójnoga i łączyły się pod stropem w kształt łuku...

Wierusz zatknął sztylet za pas i biorąc po kolei czarę pełną wody, trójzab Paracelsa, pióro orle i szpadę, tak kończył formułę zaklęcia:

— Aniele o oczach zamarych, posłuchaj mnie lub odpłyn z tą świętą wodą!

Wężu ruchliwy, przepelnij do mych stóp lub bądź dręczony ogniem świętym i ulotnij się wraz z wonnościami, które tutaj spalam!

<sup>150</sup>pektoral — ozdobny napierśnik noszony przez żydowskich arcykapłanów. [przypis edytorski]

<sup>151</sup>trypod (z gr.) — trójnóg. [przypis edytorski]

<sup>152</sup>*Caput mortuum...* (łac.) — Martwa głowa! Niechaj ci rozkaże Pan przez żywego i poświęconego węża!... Cherubie! Niechaj ci rozkaże Pan przez Adama-Jotchavah! Orle błędny! Niech ci rozkaże Pan przez skrzydła Byka!.. Wężu! Niech ci rozkaże Pan w znaku tetragramu przez anioła i lwa! Michale! Gabrielu! Rafaelu! Anaelu! Niechaj spłynie wilgoć przez ducha Eloim. — Niechaj trwa susza ziemi przez Adama-Jotchavah! — Niech się stanie przeźrocze niebios przez Jahve-Zeaoth. — Niech się stanie sąd przez ogień w mocy Michała! [przypis autorski]

Orle spętany, usłuchaj tego znaku lub cofnij się przed tym podmuchem!

Byku skrzydlaty, pracuj lub powróć na ziemię, jeśli nie chcesz, abym cię przekłuł tą szpadą!...

Niechaj *woda* powróci do wody, *ogień* niechaj płonie, *powietrze* wiruje, niechaj *ziemia* padnie na ziemię przez moc pentagramu i w imię tetragramu<sup>153</sup> wpisanego w środek świetlistego krzyża!...

Dymy drgnęły, zakolysały się, skłębiły... Z łuku arkady wydzielili się przeźrocza jak tiul kurtyna i stoczywszy się w dół, odcięła niszę od reszty podziemia. Za nią poszła druga, trzecia, czwarta... Zasunęły się kolejno poza siebie warstwami, aż utworzyła się z nich gęsta, mlecznobiała zasłona, poza którą znikła wnęka z tapczanem i leżący na nim człowiek.

Mag dmuchnął na powierzchnię wody w czarze, wysypał dwie szczypty soli i zanurzywszy w roztworze pęk gałązek jesionu, barwinku i szalwii, pokropił nim ołtarz wśród szeptu słów rytuału:

— Niech od tej soli oddalą się stwory żywiołu, by była solą niebiańską, by zachowała dusze i ciała nasze od wszelkiej zmazy i zepsucia i użyczyła nadziei naszej skrzydeł do lotu.

Potem, wytrząsając w czasie resztki popiołu z kadzielnicy, mówił słowa poświęcenia:

— Niechaj popiół ten wróci do źródła wód żywych i zapłodni sobą ziemię, by wydała drzewo żywota.

Włożył w naczynie kopystkę z jaspisu i zamieszał. A gdy sól i popiół zaczęły się łączyć w wodzie, wypłynął z ust cytatora rozkaz:

— W soli mądrości wieczystej, w wodzie odrodzenia i w popiołach rodzących ziemię nową niech się wszystko stanie w imię Gabriela, Rafaela i Uriela!

Zamilkł i wpatrywał się w kotarę z dymów. A po niej pod siłą jego wejrzenia zaczęły przebiegać fałdy dreszczy.

Wtedy czyniąc w powietrzu znak czarą, zawołał donośnie:

— *Exorciso te, creatura aquae, ut sis mihi speculum Dei vivi in operibus Eius et fons vitae et ablutio peccatorum! Amen*<sup>154</sup>.

Ruślanie morza, królu straszliwy wody, który dzierzysz klucze opustów niebieskich, władco potopu i ulew wiosennych, stróżu źródeł i fontann, wzywam cię!...

Zakotłowało w oponie dymów: jednolita, szarobiała ściana podzieliła się, rozpadła i przeszła w kontur człeko-zwierza. Stwór, chwiejąc olbrzymim łbem, z którego spływały strzępy morszczyzny i wodoziela, wlepił w cytującego spojrzenie pełne niechęci:

— Czego chcesz ode mnie?

— Jeżeliś ty lub który z podwładnych ci wodników, spragniony kształtu widomego, skorzystał ze snu tego człowieka i przywłaszczył sobie jego mumię<sup>155</sup> — rozkazuję w imię pentagramu *zwrócić mu ją* natychmiast!

Na twarzy widma zaigrał złośliwy uśmiech. Wodnik spojrział zezem w stronę wnęki, uderzył się parę razy po brzuchu pletwiastym ogonem i rozplynął w bezkształt dymu.

— Więc to żaden z nich — rzekł Andrzej, patrząc na mnie. — Przejdźmy do ich czerwonych antagonistów!

I rzuciwszy w konchę trójnoga kadzidło, żywicę, kamforę i siarkę, po trzykroć zawołał:

— Dżin! Samael! Anael!

Następnie uczyniwszy w powietrzu znak trójzębem Paracelsa, powtórzył rozkaz dobitniej:

— *Esorciso igitur te, creatura ignis, per pentagrammaton et in nomine tetragrammaton in quibus sunt voluntas firma et fides recta. Amen*<sup>156</sup>.

— Perkunie, panie ognia i władcyko jaszczuro-salamander, włodarzu gór lawą zięjących i gromów, ukaż mi się w twej własnej postaci lub w kształcie jednego z tworów ci podwładnych! Duchu *ognia*, wzywam cię!

<sup>153</sup>*tetragram* (gr.: czteroliterowiec) — określenie imienia własnego Boga w Biblii, jako zapisywanego czterema literami hebrajskimi: JWHH. [przypis edytorski]

<sup>154</sup>*Exorciso te...* (łac.) — Zaklinam cię, tworze wody, byś był mi zwierciadłem Boga żywego w dziełach Jego, źródłem życia i obmyciem się z grzechów! [przypis autorski]

<sup>155</sup>*mumia* — Tutaj tyle co: ciało astralne, czyli Linga Sharira (termin Paracelsa). [przypis autorski]

<sup>156</sup>*Exorciso igitur...* (łac.) — Zaklinam cię tedy, tworze ognia, przez znak pentagramu i w imię tetragramu, w których jest wola mocna i wiara prawa. Amen. [przypis autorski]

Rozległ się huk niszczącego żywiołu i nagle cała wnęka napelniła się płomieniami.

— Dżin! Samael! Anael! — grzmiał wśród szelestu czerwonych jęzorów głos maga.

Na tle ognistej powodzi zarysowała się postać nagiej, rudowłosej kobiety ze znamięm jaszczurki na biodrze prawym.

— Kamo! — krzyknąłem rzucając się ku płomiennej kochance.

Lecz w drodze zatrzymało mnie stalowe ramię Andrzeja:

— Ani kroku dalej!

— Kamo-Salamandro! — usłyszałem dominujący nad hukiem ognia jego głos. — Czuj moją wolę! Otoć rozkazuję w imię pentagramu zwrócić śpiącemu jego własność...

Kama wlepiała weń spojrzenie zionące gniewem i nienawiścią. Z ust purpurowych wyszedł jęk bólu i skargi. Znamię jaszczurcze na biodrze jej ożyło i zaczęło się potwornie rozrastać. Z łona wywiązał się fluidyczny sznur-pępowina i wąskim smoczkiem sięgnął ku piersiom śpiącego. I oto w miarę jak jaszczurka prawem szczególnej absorpcji zajmowała sobą coraz to większą powierzchnię ciała Kamy, zewłok człowieka na tapczanie zdradzał coraz wyraźniejsze objawy życia. Zapadłe policzki zabarwiły się koralem krwi, znikła martwota członków i klatka piersiowa zaczęła wykonywać miarowe ruchy... Nagle, gdy już salamandra wchłonęła w siebie całą postać Kamy i zajęła niepodzielnie jej miejsce wśród skrętów ognia, śpiący obudził się...

W tejże chwili zgasły płomień i wizja potwornej jaszczurki, a przebudzony, otworzywszy zdumiałe oczy, zerwał się z barłogu i nie zwracając uwagi na nas, wypadł jak opętany przez czeluszc otworu w głąb galerii.

— Za nim! — krzyknął Wierusz, zrzucając płaszcz maga na dogasający już ołtarz. — Za nim! Nie mamy ani chwili czasu do stracenia!

I obaj wybiegliśmy z kagankami w korytarze podziemia.

Pościg trwał długo, gdyż Jastroń obrał drogę dalszą, docierając chodnikami aż do domów rybackich nad brzegiem, w dolnej części miasta. W końcu zaświtał przed nami wylot sieni. Stąd pędziliśmy już na powierzchni ziemi. Jastroń wyprzedził nas spory kawał i wciąż mieliśmy go przed sobą w znacznej odległości. Tak minęliśmy nadbrzeżne zaułki i skręciliśmy w uliczkę Św. Floriana. Jastroń zmierzał w stronę mostu...

Na świecie tymczasem zapadł już zmrok. Mdle<sup>157</sup> błyski latarni przyrzecznych rozświetlały drogę skąpo i niedokładnie. Musiał spaść niedawno deszcz, bo parę razy zapadliśmy po kostki w bajury, drzemające po wykrotach ulic. Nareszcie zalsnił w blasku wieczystej lampki kask świętego Centuriona<sup>158</sup> u przyczółka mostu. Postać zbiega czerniała przed nami wyraźnie na środku mostu, w odległości niespełna 300 metrów. Z przeciwnej strony, zza rzeki, nadchodził wolnym krokiem jakiś mężczyzna...

Niespodziewanie, dziko, znienacka, w chwili gdy się nawzajem mijali w połowie mostu, Jastroń jak rozjuszony żbik rzucił się nań, zatapiając mu szpony palców pod szyję. Nieznajomy na próżno usiłował otrząsnąć się z napastnika; pazury, które wbiły mu się w ciało, zdały się być ze stali. Walka trwała zaledwie parę sekund. Zanim zdołaliśmy przyjść z pomocą, nieszczęśliwy uległ. Z siłą, jakiej nikt by się nie domyślił w wątłym, wyschłym na szkielet ciele tego człowieka, dźwignął Jastroń swą ofiarę na barki, poniósł ją parę kroków ku balustradzie ochronnej mostu i tu jednym pchnięciem ramion zrzucił w nurty Druczy. Po dokonaniu czynu chwilę jeszcze stał przechylony przez parapet, jakby badając toczące się spodem fale; dopiero na odgłos naszych kroków ocknął się i lotem strzały pomknął w kierunku przeciwnym, za rzekę. Dalszy pościg był bezcelowy. Raczej należało wyłowić ciało nieznanego.

Odwiazaliśmy łódkę stojącą u brzegu i rozświetlając rzekę kagankami, rozpoczęliśmy poszukiwania. Wkrótce pod jedną z arkad mostowych zamajaczyły zwłoki ofiary. Podpłynęliśmy i przy pomocy oseków<sup>159</sup> udało nam się wciągnąć ciało do łódki.

Wierusz, skierowawszy światło na twarz nieszczęśliwego, wydał stłumiony okrzyk. Człowiekiem uduszonym przez Jastronia był ten sam wysoki, barczysty mężczyzna, który dnia poprzedniego wieczorem przyszedł do mego przyjaciela ze słowem przebaczenia...

<sup>157</sup>mdly (daw.) — słaby. [przypis edytorski]

<sup>158</sup>święty Centurion — św. Florian, sprawujący funkcję centuriona (oficera) w armii rzymskiej. [przypis edytorski]

<sup>159</sup>osek — tu: bosak, drąg zakończony ostrzem i hakiem. [przypis edytorski]

## W „GOSPODZIE POD MIĘTUSEM”

Śmierć barona de Castro, którego zwłoki znaleziono w nurtach Druczy, wywołała w mieście niebывalą sensację. Bogaty cudzoziemiec, zamieszkały w tych stronach od kilku lat, nie cieszył się zbyt pochlebną reputacją. Było rzeczą powszechnie wiadomą, że baron prowadził życie rozwiązłe i wyuzdane. Toteż zgon jego nagły i tajemniczy dał pochop<sup>160</sup> do najrozmaitszych komentarzy. Ponieważ badania lekarskie stwierdziły ślady uduszenia, przeto sprawą tą zajął się sąd. Lecz dochodzenia spełzły na niczym: sprawcy mordu nie wykryto. Jakkolwiek ewentualne zeznania moje i Andrzeja byłyby niewątpliwie przyczyniły się do rozwikłania mglistej afery, żaden z nas nie zgłosił się u sędziego śledczego. Pogląd Wierusza na tę zbrodnię nie pozwalał nam występować w roli świadków i pomagać sprawiedliwości. Dlatego postanowiliśmy pozostawić swobodny bieg wypadkom i zdać się na wolę losu.

— W gruncie rzeczy — tłumaczył mi Andrzej, widząc me skrupuły i wątpliwości — złoczyńca zawinił tu poniekąd tylko w części.

— Jak to?

— Pełnia winy może być tylko tam, gdzie istnieje premedytacja.

— No tak. Ale jeżeli on powziął decyzję w ostatniej chwili, np. w celach rabunkowych? Powierzchność ofiary mogła wzbudzić w mordercy pewne w tym kierunku nadzieje...

— Nie stwierdzono ani śladu czegoś podobnego. Przy uduszonym znaleziono portfel z czekiem opiewającym na milion kilkaset tysięcy gotówki. Niczego nie tknięto. Nie brakowało nawet zegarka złotego z łańcuszkiem.

— A zatem chyba zemsta?

— Skądże znów to przypuszczenie? Baron i ten pospolity szczur rzeczny mieli na to za mało powierzchni zetknięcia.

— A więc?

— Przypuszczam, że morderca spełniał akt w stanie na pół przytomnym. Równie dobrze byłby udusił ciebie lub mnie, gdyby którego z nas spotkał wtedy na *moście*.

— A to dlaczego?

— Realizował prawdopodobnie tylko ostatnią swą myśl, z którą zasnął przed dwoma laty.

— A zatem przypuszczasz, że nosił się z zamiarem zamordowania kogoś w wigilię swego fatalnego zaśnięcia?

— Tak. I to zamordowania kogoś, kto miał przechodzić w pewnej oznaczonej porze przez most Św. Floriana.

— Szczególny domysł! W takim razie de Castro zginął całkiem przypadkowo?

— Naturalnie. Zbrodnia Jastronia jest tylko spóźnioną realizacją zamiaru powziętego mniej więcej przed dwoma laty, a dziwny stan, w który popadł, wynikiem napięcia nerwowego przed spełnieniem zamierzonego czynu. Dlatego pierwszą myślą jego po przebudzeniu się, która jak pęd żywiołowy wypchnęła go z mroków podziemia na świat, była nieodparta konieczność realizacji. Więc wypadł i zamordował pierwszego spotkanego na *moście* człowieka.

— Więc baron miał poniekąd rację, przychodząc do ciebie ze słowem przebaczenia?

— Niestety tak. W niewytłumaczony sposób przeczuł, że ja właśnie będę sprawcą jego śmierci. Gdybym nie był powołał Jastronia do życia, tamten nie byłby zginął.

— Co za zagadkowy spłot wydarzeń!

— Tak, tak — powtórzył smutno — to ja wypuściłem nań z podziemnej pieczary tego człowieka i dlatego nie mogę teraz świadczyć przeciw niemu.

— Masz słuszność...

---

Ostatecznie jednak straciliśmy z oczu mordercę, który zapadł się jak pod ziemię. Mimo gorliwych poszukiwań nigdzie nie można go było wytropić. Identyczność jego

---

<sup>160</sup>dał pochop (daw.) — sens: stworzył okazję, skłonił. [przypis edytorski]

z Jastroniem nie ulegała już dla nas najmniejszej wątpliwości. Wkrótce bowiem po tragicznym zajściu na moście Św. Floriana rozeszła się pomiędzy nadrzeczными rybakami pogłoska o „powrocie” Jastronia „z dalekiej wyprawy”. Przekonałem się o tym pośrednio, przechodząc raz koło jego szatry<sup>161</sup> nad Druczą. Drzwi budy były tym razem otwarte na oścież, a stos sieci w kącie pod ścianą zniknął bez śladu. Widocznie tajemniczy właściciel „letniska” wpadł tu na chwilę parę, odbił swe mieszkanie i zabrawszy przybory rybackie, skwapliwie usunął się sprzed oczu ludzkich. Przeszukaliśmy parę razy z Wieruszem wszystkie zakamarki nad rzeką, zwiedziliśmy ponownie podziemia Druczy wzdłuż i wszerz, zaglądnęliśmy do kilku podejrzanych spelunek odwiedzanych przez rybitwów — wszystko na próżno. Jastroniec szedł bez śladu.

Wprawdzie kilkakrotnie wśród rozmów i pogawędek, którym przysłuchiwałem się pilnie w tych gospodach, obito się nam o uszy jego imię, lecz nie udało się wyłowić żadnych bliższych szczegółów co do jego osoby; solidarni „koledzy” odnosili się do obcych „panów” nieufnie i zachowywali znamiennej dyskrekcję.

Tymczasem upłynął miesiąc wilegiatury<sup>162</sup> Halszki. Wróciła z Bolestraszczyca piękniejsza jeszcze niż zwykle i mocno za mną stęskniona. Na matowych jej policzkach zakwitł znów cudowny bladoróżowy zwiastun zdrowia, przezysty lazur oczu pogłębił się i nabrał blasku. Uroda mojej dziewczyny zwracała powszechną uwagę, gdziekolwiek się pojawiała. Byłem dumny i szczęśliwy. Zazdrośczone mi jej i czułem, że słusznie.

Tak minęło parę miesięcy pogodnych i słonecznych jak dni lata. O Kamie słychać zaginęła. Od chwili „przebudzenia się” Jastronia nie dawała o sobie znaku życia. Ustały nagle te namiętne *billets doux*<sup>163</sup>, urwała się cała ta szalona korespondencja, pełna wybuchów namiętności, gwałtowna, despotyczna w swej miłosnej tyranii.

Lecz Andrzej nie dowierzał.

— Dopóki nie zdobędziemy absolutnej i trwałej władzy nad Jastroniem, wszystko może powrócić, i to ze zdwojoną siłą — odpowiadał nieraz ze smutnym uśmiechem na moje facecje. — Pamiętajmy o tym, że istota, pod której wpływem pozostawałeś tak długo, jest jednym z duchów elementarnych; monady żywiołów, o ile zapragną ludzkiego trybu życia i ludzkiego kształtu, nie zniechęcają się tak łatwo byle czym i chętnie ponawiają próby powrotu do fizycznego planu.

— Jastroniec przebudził się — powtarzałem z przekorą.

— Tak, lecz jako człowiek z krwi i kości wciąż musi ulegać prawom snu i spoczynku. A my, niestety, nie możemy czuwać nad nim w owych chwilach.

— Przypuszczam, że chyba nie ogarnie go tak prędko po raz drugi chęć mordowania kogoś na moście i nie wywoła w następstwie letargu.

— Ten warunek nie jest już teraz dla Kamy nieodzowny. Mimo wszystko ona ma silniejszy wpływ na niego niż my. Kto przez dwa lata z górą pozostawał z tym człowiekiem w stosunku psychofizycznej symbiozy, temu z natury rzeczy łatwiej niż komu innemu opanować go powtórnie. Obawiam się tego tym bardziej, że nie wiemy, gdzie właściwie teraz Jastroniec przebywa.

— Właściwie cóż by nam przyszło z tego, gdybyśmy wreszcie go odnaleźli? Przecież trudno go wyciąć przez czas dłuższy.

— Zapewne, lecz można wpłynąć nań w stosowny sposób, można wejść z nim w pertraktacje. Można by np. zaproponować mu, by przez pewien czas mieszkał pod naszą opieką, choćby tu u mnie, w tym domu.

— Hm... tak. To by było możliwe. Wiesz, ja bym się chętnie podjął tej misji — tylko w tym sęk, gdzie go szukać. Zagrzebał się gdzieś w jakiejś norze, jak na szczura wodnego przystało.

Wierusz zamyślił się. Po twarzy jego pociągłej, o ostrym, surowym profilu, przemknął cień wahania — rzadki u tego człowieka ze stali moment wewnętrznej rozterki. Lecz przemógł się szybko i patrząc mi w oczy ze zwykłym u siebie półsmutnym uśmiechem, rzekł:

<sup>161</sup>szatry (z tur.) — buda, szałas. [przypis edytorski]

<sup>162</sup>wilegiatura (daw.) — dłuższy wypoczynek na wsi. [przypis edytorski]

<sup>163</sup>billet doux (fr.) — liścik miłosny. [przypis edytorski]

— Znam tylko jeden sposób, który może naprowadzić nas na trop Jastronia: muszę użyć eksterioryzacji.

— Termin dla mnie niezupełnie jasny.

— Zrozumiesz w toku akcji. Lecz przede wszystkim postawię ci jeden zasadniczy warunek.

— Z góry obiecuję spełnić wszystko co do joty.

— Musisz sam rozmówić się z Jastroniem.

— Ależ owszem; proszę o to. Byłem go tylko odnalazł.

— Drogę wskaże ci przewodnik.

— Przewodnik? Kto nim będzie?

— Wędrowiec-pustelnik.

— Gdzie mam go szukać?

Andrzej uśmiechnął się:

— Przyjdzie tu sam; poznasz go od razu. Za nim pójdziesz.

— A ty?

Na ustach Wierusza przewinał się ponownie szczególny uśmiech:

— Ja pozostanę tutaj; będę oczekiwał twego powrotu tu w tym fotelu! Umieścisz mnie w nim, gdy zasną.

— Dobrze. Czy mam cię zamknąć na klucz?

— Będzie to nawet rzeczą wskazaną. Mam dwa od drzwi na korytarz; jeden zostanie przy mnie, drugi weźmiesz z sobą.

— Kiedy?

— Zaraz. Tu masz klucz. Przyćmij lampę!... Tak! A teraz proszę cię, nie mów nic do mnie; potrzebuję bezwzględnie spokoju.

Cofnąłem się dyskretnie w kąt pokoju i tu usiadłszy na sofie, nie spuszczałem zeń oczu. A on, przytknąwszy do ust pantakl pentagramu, symbolicznej miniatury mikro-kosmosu, pocałował w czoło wyryty w jego środku wizerunek Wielkiego Hierofanta<sup>164</sup>. Potem, wyciągnąwszy w dal rękę, z pochyloną kornie głową, zaczął monotonnym, śpiew muezina z galerii minaretu przypominającym głosem odmawiać inwokację setramu. W ciszy wieczornej dziwnie brzmiała ta śpiewna modlitwa, którą mag wzmacniał swe siły duchowe przed czynem. Zdawało mi się, że nagle znalazłem się daleko od zacisznego zakątka przy ul. Parkowej, gdzieś na złotych piaskach pustyni w godzinę zachodu, gdy słońce ogromne, czerwone zanurza już tarczę w fale morza, i że otoczony rzeszą wiernych wyznawców Allacha słucham wieczornych modłów namazu<sup>165</sup>.

— Moce królestwa nieba i ziemi — modlił się Andrzej — bądźcie pod moją nogą lewą i w mej ręce prawej! Słowo i wieczności, dotknijcie obu mych ramion i skierujcie mnie na drogę zwycięstwa! Miłosierdzie i sprawiedliwości, bądźcie równowagą i blaskiem mego życia! Mądrości i roztropności, uwieńczcie mą głowę! Duchy jasne, prowadźcie mnie między kolumnami, na których spiera się ciężar chramu<sup>166</sup>! Anioły sfer, utwierdźcie stopy moje na skalnym wiszarze otchłani! Cherubiny, bądźcie mą siłą w imię Przedwiecznego! Eony<sup>167</sup>, walczyjcie w mej sprawie w imię tetragramatu! Serafyny, oczyśćcie mą miłość! Alleluja! Alleluja! Alleluja!

Głos maga słabł pod koniec setramu coraz bardziej, aż słów ostatnich domówił ledwo dosłyszalnym szeptem...

Podniosłem się z sofy i zbliżyłem ku niemu. Był w pełnym transie. Łagodnie ująłem go za ramiona i posadziłem w fotelu. Przyćmione abażurem światło skąpało w czerwonej topieli twarz jego cichą, skupioną i chude, nerwowe, bezwładnie wzdłuż poręczy opuszczone ręce...

<sup>164</sup>hierofant (gr.) — kapłan kultu misteryjnego, przeznaczonego dla wtajemniczonych. [przypis edytorski]

<sup>165</sup>namaz (tur.) — obowiązkowa modlitwa muzułmańska odmawiana pięć razy w ciągu dnia. [przypis edytorski]

<sup>166</sup>chram (daw.) — świątynia. [przypis edytorski]

<sup>167</sup>Eon — według religii gnostyckich istota pośrednicząca między stwórcą a istotami stworzonymi. [przypis edytorski]

Wtem z piersi, spod pach i z ust nie domkniętych śpiącego zaczęły wywiązywać się mlecznobiałe taśmy materii. Gibkie, ruchliwe wstęgi otoczyły go wkoło, zakrywając głowę i tors. Na chwilę Wierusz zniknął mi z oczu wśród kłębow ektoplazmy<sup>168</sup>...

Po pewnym czasie fluidyczny wysiłek zaczął zdradzać tendencje kształtotwórcze; zarysował się kontur głowy ludzkiej, rąk, tułowia i po paru minutach ujrzałem obok Andrzeja wyraźną już postać starca opartego bokiem o jego ramię. Twarz widziadła, poważna, szlachetna, o wyniosłym czole, z głęboką, pionową bruzdą nad osadą orlego nosa przypominała trochę fizjognomię śpiącego w fotelu, lecz nie była z nią identyczną — był to jakby Wierusz, lecz w stanie szczególnej transfiguracji.

Barki fantomu okrywał obszerny płaszcz pątniczy z kapturem z potrójną linią fałdów; w prawej trzymał starzec latarkę z płonącymi wewnątrz trzema knotami, w lewej łaskę wędrowca z węzłami trzech sęków.

W pewnej chwili „przewodnik” odłączył się od Andrzeja i podniósłszy w górę latarkę, zaczął zmierzać ku wyjściu. Ubrałem się i wyszedłem za nim.

Było już ciemno. Wczesny, jesienny zmrok zalegał ulice. Starzec, uniesiony parę cali nad ziemią, płynął przede mną w powietrzu. Miałem wrażenie, że prócz mnie nikt go nie widzi; mijający nas w drodze przechodnie nie zwracali nań uwagi. Parę razy przesiąkł jak mgła przez pnie drzew w alei lipowej...

Po kilkunastu minutach znaleźliśmy się na moście. Uczulem mimowolny dreszcz grozy. Od czasu śmierci barona de Castro unikałem tego miejsca, przechodząc w razie potrzeby na drugą stronę Druczy innym mostem poniżej, koło urzędu celnego.

Przebywszy szczęśliwie fatalne przejście, skręciliśmy w stronę zadruczańskich bulwarów. Tu było prawie pusto. Gdzieś tam tylko zabłąkał się spóźniony furgon żołnierski w drodze od podmiejskich koszar lub przeszedł chwiejnym krokiem pijany włóczęga. Światła budek strażniczych, rozrzucone tu i ówdzie po brzegu stromym i skalistym, drgały na fali iglicami lśnień w barwach rubinu i szmaragdu. Jakiś rybak, powracający na łódce z wieczornego połowu, nucił smętną piosenkę w takt miarowy pluskającego wiosła...

Przewodnik szedł dalej. Skończyły się bulwary, opustoszała droga, przestały snuć się refleksy światła na wodzie. Posuwaliśmy się ścieżką zgłuszoną na polu kępami ostu i burzanów. W pewnym miejscu ścieżka skończyła się i przeszła w ubity twardo tok, w którego środku zamajaczyły zarysy budynku. Starzec stanął, otworzył szybką latarki i zdmuchnął światło; po chwili postać jego rozwiała się w przestrzeni bez śladu. Byłem na miejscu.

Odurzony bezwzględnością samotnością ruszyłem ku czerniejącemu przede mną o kilkadziesiąt kroków domowi. Była to stara, półzawalona rudera z powybijanymi oknami i zapadniętym w głąb dachem. Ani jeden promyk światła nie przedostawał się z wnętrza. Dom stał głuchy i czarny pośród głuchej i czarnej nocy...

Wydobyłem z kieszeni palta nieodstępną w nocnych wycieczkach lampkę elektryczną i rozświecając sobie drogę, zbliżyłem się ku drzwiom. Gdy na pukanie nikt nie odpowiedział, wywaliłem drzwi nogą i wszedłem. Pierwsza izba była zupełnie pusta; na podłodze szczerzącej się drapieźnie dziurami desek leżały tylko kupy gruzu i parę nadpalonych cegieł. Przekraczając wysoki próg izby sąsiedniej, potknąłem się i z trudem tylko zdołałem utrzymać równowagę. Światło lampki padło na jedną ze ścian i wytropiło parę wiszących na haku łachmanów. Odwróciłem się z obrzydzeniem i skierowałem spojrzenie w dół. Tu podłogi nie było już wcale. Na gliniastym klepisku, które zastąpiło jej miejsce, wały się stosy cuchnących szmat. Jakieś stare, błotem i skrzepem krwi ochlastane gałgany, plugawe ściereki i brudne fletuchy<sup>169</sup> drzemały po węglach w oprzędzy kurzu i pajęczyn. Piwniczna wilgoć szła od ścian odartych z tynku, zaduch stęchlizny bił z każdego kąta. Na trupieszających od lat szmatach odzieży mrowiło się robactwo: ohydne, białawoszare stonogi...

Wtem spoza drzwi wiodących do trzeciej z rzędu izby doszedł mnie dźwięk metalu cichy, ale wyraźny. Puściłem guzik latarki, pogrążając wszystko w ciemność. Wtedy przez szparę u dołu wypełznął z tamtego pokoju wąski pasek światła. Ktoś był za tymi drzwiami...

<sup>168</sup>ektoplazma — wg spirytystów galaretowata substancja wydzielana przez uśpione medium. [przypis edytorski]

<sup>169</sup>fletuch — tu: szmata. [przypis edytorski]



Z podniesioną do strzału bronią wszedłem. Była to przestrzeń niewielka, prostokątna, oświetlona łożówką. W kącie rozdarty barłóg, para krzeseł, stół nielitościwie poszczerbiony i poplamiony, pod oknem duży kufer. Przy tym kufrze klęczał człowiek, wychudły jak Piotrowin, i liczył pieniądze. Czynność pochłonęła go tak zupełnie, że nawet nie zauważył mego wejścia i w dalszym ciągu z lubością przepuszczał przez pieszczelone palców złote i srebrne krażki. Dźwięk kruszcu mile lechtał jego ucho, bo wciąż nabierał garściami świeżych monet, potrząsał nimi jak dziecko na dłoni i pobawiwszy się ich chrzęstem, pozwalał im spływać wzdłuż palców w głąb kufra.

Były najrozmaitszego rodzaju i narodowości: masywne holenderskie guldeny, francuskie luidory i napoleony, hiszpańskie dublony, pesetas i srebrne duros, staropolskie dukaty i czerwienice, hinduskie rupie i tureckie piastry. Wypełniały kufer niemal pod wierzch lśniącą metalicznie powodzią. Zbiór przedstawiał wartość paru miliardów...

Namiętność tego nędzarza-bogacza bawiła mnie, budząc zarazem uczucie wstrętu i litości. Denerwował mnie bezmyślny i dziecięcy ruch jego chudych palców gmerających wśród złota, śmieszył i drażnił równocześnie skurcz jego rąk zanurzających się z rozkoszą w złoża szlachetnego metalu.

Postanowiłem przerwać mu zabawę i chrząknąłem głośno. Zadrzał i odruchowo zatraskując wieko, porwał się na nogi. Poznałem mordercę barona.

— Dobry wieczór, panie Jastron! — pozdrowiłem, nie spuszczać ku ziemi browninga.

W pierwszej chwili zdawało się, że się na mnie rzuci, lecz widok lśniącej lufy gotowej do strzału zatrzymał go w porę w przyzwoitej odległości. Na twarzy jego zawiędłej, przoranej tysiącem namiętności, odbił się wyraz stłumionej gwałtem wściekłości i strachu. Czuł się wytropionym.

— Pan co za jeden?! — zapytał gburowato zgrzytającym jak stare zawiasy głosem. — Czego pan tu szuka po nocy?

— Ho, ho, panie Jastron, tylko nie tak gorąco i hardo! — upomniałem, zajmując miejsce przy stole. — Powolutko wszystko się wyjaśni. Czasu sporo przed nami — noc długa. Przede wszystkim niech się pan uspokoi i przestanie patrzeć na mnie jak wilk. Ja panu ani wróg, ani przyjaciel. Zwyczajnie człowiek. Nie przyszedłem tu ani rabować, ani na przespiesi. Jak pan widzi, nie jestem ani rzezimieszkiem, jak np. pan, ani szpiclem policyjnym. No, cóż? Będzie pan grzeczny, panie Jastron?

— Skąd pan wie, że nazywam się Jastron? — odpowiedział trochę już łagodniejszym tonem. — Skąd pan mnie może znać, u licha? Niech mnie kaduk porwie, jeśli kiedy w życiu choć raz spotkał pańską głębę.

— Ciszej, kochany panie Jastron, ciszej i grzeczniej. Nie wyjeżdżaj zbyt z pyskiem, bo, jak mi Bóg miły, grzmotnę ze „spluwa”. A dobry jest i nigdy nie chybia... Skąd się znamy — chciałeś wiedzieć, kochanku? Zaraz ci powiem: z mostu Św. Floriana.

Informacja podziałała piorunująco. Wlepił we mnie przerażone oczy i zaczął bełkotać półprzytomnie:

— Most Św. Floriana... Nie, n—n—n—ie z—znam, n—ie by—byłem tam nnigdy...

— Pomogę pamięci — ciągnąłem, poprawiając się na krześle. — A tego jegomościa wysokiego, barczystego, który wyszedł ci wtedy naprzeciw późnym wieczorem na środku mostu, też nie pamiętasz, co?

Z piersi Jastronia wydobył się głuchy ryk; podniósł ręce i szczerząc spróchniałe kły zębów, jak odyniec rzucił się ku mnie.

— Stój, bo strzelę!

Zatrzymał się tuż przede mną, dysząc ciężko.

— Usiądź tam przy stole po drugiej stronie, naprzeciw — rzekłem rozkazująco.

Uśluchał pokorny jak baranek.

— Jak widzisz — mówiłem dalej, nie spuszczać go z oka — jesteś w moim ręku. Wiem wszystko o tobie, co potrzebne.

— Ile chcesz? — warknął zagryzając wąsa.

Roześmiałem się głośno. Ten człowiek brał mnie oczywiście za szantażystę.

— Słuchaj, Jastron — tłumaczyłem mu, opanowawszy wesołość. — Powtarzam ci raz jeszcze, że nie przyszedłem tu po to, by coś od ciebie wyłudzić. Ja twoich pieniędzy

nie potrzebuję. Zatrzymaj sobie swój plugawy skarb i ciesz się nim, jeśli ci to sprawia przyjemność.

Nędznik odetchnął z uczuciem ulgi.

— Więc czego właściwie u kaduka pan chce ode mnie? — zagadnął już spokojnie.

— Chciałbym z tobą trochę pogawędzić.

— Nie mam czasu — odburknął.

— Jeśli nie masz czasu dla mnie teraz, to znajdziesz go więcej jutro pod kluczem przy ulicy Stromej. Hm... No, jakże? Będziesz ze mną teraz rozmawiał czy też wolisz rozmyślać za kratami?

— O co panu chodzi? — zapytał z rezygnacją.

— Zaczniemy od paru koniecznych informacji. Czy znasz nazwisko człowieka, którego miesiąc temu udusiłeś na moście Św. Floriana?

Jastron popatrzył na mnie zaskoczony pytaniem.

— Tak. Dowiedziałem się z gazet; nazywa się baron de Castro. Ale skąd u diabła pan się domyślił tego, że nie wiedziałem, kogo morduję? Bo Bóg mi świadkiem — dodał, podnosząc uroczyście dwa palce do góry — że wtedy nie wiedziałem.

— Wiem o tym i wierzę ci na słowo. Tylko w takim razie wytłumacz mi, dlaczego właściwie rzuciłeś się na tego człowieka?

— Nie wiem — odparł bezradnie. — Nie wiem... Coś mnie pędziło o tej godzinie na most i kazało usunąć z mej drogi pierwszego napotkanego tam człowieka. To wszystko, co wiem o tej sprawie. Właściwie czuję się niewinnym.

— No, no — zobaczymy. Pomogę ci przypomnieć sobie pewne rzeczy, które twój czyn poprzedziły. Chyba musisz to jeszcze pamiętać, skąd wypadłeś na tę nocną wycieczkę, co?

— No, tak — pamiętam — odpowiedział ponuro.

— Przebudziłeś się i poszedłeś, by wykonać swój zamiar.

— Przebudziłem się... — powtórzył z namysłem. — Przebudziłem się...

— Czy wiesz, jak długo spałeś w podziemiu?

— Nie.

— Przeszło dwa lata.

Zerwał się z miejsca i osłupiałym wzrokiem błędził po mej twarzy.

— To nie może być — szepnął wodząc dłonią po czole. — Nie może być... Przez te dwa lata mnie tu w tych stronach nie było...

— A gdzie właściwie obracałeś się przez cały ten czas? — zapytałem z zainteresowaniem.

— Nie potrafię panu tego dokładnie powiedzieć. Byłem w jakimś obcym kraju, wśród nieznanych ludzi... Wszystko widzę dzisiaj jak przez mgłę... A może... a może to był naprawdę tylko sen, długi, dziwny sen?...

— Przypuśćmy, że istotnie „wyjechałeś” stąd, przypuśćmy... Czy zapamiętałeś sobie przynajmniej te szczegóły z twego życia, które bezpośrednio poprzedziły tę „podróż”?

— Szczegóły? — zapytał zakłopotany. — Nie rozumiem. Niech pan mówi do mnie po prostu.

— Innymi słowy: czy pamiętasz, co robiłeś mniej więcej dwa lata temu tuż przed owym „wyjazdem” w „obce” strony?

Zmarszczył czoło i ściągnął ostre, silnie zarysowane łuki brwi. Znac było intensywną pracę przypominania.

— Czy nie nosiłeś się wtedy z jakim zamiarem? Może ci kto wszedł w drogę, ktoś mocno niewygodny? Może miałeś wtedy z kim przedawnione rozrachunki?

W oczach Jastronia zaświtało ponurym brzaskiem.

— Derkacz — rzekł chrapliwie. — Derkacz...

— Kto to taki?

— Towarzysz po zawodzie.

— Aha — domyśliłem się — współnik wypraw nocnych na Druczy, co?

— Niby tak.

— Wiedział o tobie za dużo i za często przychodziło ci się dzielić z nim „zarobkiem”?

— Coś w ten deseń — uśmiechnął się zjadliwie.

— Pewnego wieczora... — poddałem mu, ułatwiając wyznania.  
 — Pewnego wieczora — podchwycił Jastronń, opanowawszy już całkiem wspomnienia  
 — umówiłem się z nim o schadzke.  
 — Hm... — chrząknąłem — mieliście się zejść na moście Św. Floriana.  
 — Właśnie. Koło dziewiątej wieczorem. I wtedy powziąłem zamiar...  
 — Rozumiem. Postanowiłeś usunąć go z drogi.  
 — He, he, he! Pan bardzo domyślny!  
 — Mniejsza o to. Tymczasem zasnąłeś.  
 — Zasnąłem?... — wytrzeszczył na mnie oczy.  
 — W każdym razie nie zabiłeś Derkacza.  
 — Nie. Gdzieś mi szczeł bez śladu.  
 — Miał dobry węch. Musiał coś przeczuwać.  
 — Może... Ale dlaczego właściwie pan mi to wszystko przypomina?  
 Pytanie było szczere i naiwne. Widocznie nie ujmował związku pomiędzy obiema sprawami. Lecz nie mając zamiaru wtajemniczać go w psychologiczny kompleks, jaki istniał w jego własnej duszy, odpowiedziałem obojętnie:  
 — Prosta ciekawość i nic więcej. Chciałem tylko stwierdzić prawdziwość swoich domysłów. Zresztą nie przystąpiliśmy dotychczas do właściwej rzeczy, która mnie tu wprowadza.  
 — Czego pan jeszcze chce ode mnie? — zagadnął znów niechętnie.  
 — Zaraz się dowiesz. Tymczasem zapalmy sobie papierosa.  
 — A i owszem.  
 I wyciągnął rękę ku mej papierośnicy.  
 — Za pozwoleniem — wstrzymałem go gestem — nie miałem zamiaru częstować cię. Za mało się znamy.  
 I zapaliwszy sam, schowałem papierośnicę do kieszeni.  
 — Obejdzie się — odburknął upokorzony. — Mam własne lepsze.  
 I wydobywszy z zanadru misternie emaliowane turkusem puzderko wypełnione szczerze dwoma szeregami papierosów, wyjął jeden i zapalił. Przez chwilę milczeliśmy, zaciągając się dymem tytoniowym. Przerwałem pierwszy milczenie:  
 — Czy nigdy przedtem nie zapadałeś w sen, który trwał dłużej niż u innych ludzi?  
 Pytanie wydało mu się śmieszne.  
 — He, he, he! Nigdy. Niby dlaczego? Przeciwnie: śpię nieraz krócej niż inni. Bywało, letnią porą czasem noc całą człek oka nie zmrzuję przy robocie.  
 — No tak. Zostawmy to... A czy od czasu tej przygody na moście nie przytrafiło ci się ani razu coś podobnego do tego, co ci się zdarzyło przed dwoma laty?  
 — Nie wiem, o co panu właściwie idzie.  
 — Czy ani razu nie zdawało ci się w ciągu ubiegłego miesiąca po przebudzeniu ze snu, że wędrowałeś gdzieś w obcych stronach?  
 — Aha — odrzekł po chwili — o to chodzi... Nie... nie — ani razu.  
 — A może zauważyłeś coś niezwykłego w czasie snu?  
 — Hm... Niby pyta mnie pan o moje sny, co?  
 — Tak. Może pamiętasz jakiś obraz, zdarzenie, czyjąś twarz?  
 — We śnie?  
 — No tak. Może coś ci się w nim ciągle powtarza?  
 Przez oczy Jastronia przesunął się cień niepokoju.  
 — Skąd pan to wszystko może wiedzieć? — zapytał szczerze zdumiony. — Mówi pan tak, jak gdyby pan we mnie siedział... W samej rzeczy prześladowuje mnie we śnie noc w noc od kilku tygodni ten sam zwid.  
 — Jaki?  
 — Śni mi się duża żółta jaszczurka w czarne cętki. Wyłazi z nory jakiejś zapadłej piwnicy, przepłza ku mnie i pcha mi się do ust. Brr...  
 — Ciekawy sen!  
 — Obrzydliwy! Odrzucam rękami natrętny pstrokaty łeb, bronię ciała mego od jej dotknięcia. Brrr... Oślizgła jest i mokra...  
 — Co dalej?

— Dalej? Ano nic. Tak schodzi mi noc. Czasem męczy mnie ta zmora godzinami.  
— Otóż widzisz, Jastron — mógłbym cię od niej uwolnić.  
— Od tej jaszczurzycy?  
— Tak. Miałbyś odtąd spokojne noce. Musisz tylko spełnić jeden warunek; przyszedłem tu właśnie po to, by ci zrobić pewną propozycję...

Zanim zdołałem dokończyć, rozległ się w pobliżu przeraźliwy huk i wśród kłębow dymu wtargnęły do wnętrza czerwone kędzioły ognia. W jednej chwili izba napelniła się duszącym swędem spalenizny. Gęsty dym zaciągnął wszystko brudnoszarą płachtą, poza którą znikł mi z oczu Jastron i otoczenie. Po rękach i twarzy lizwały mnie jęczory żywiołu, w piersiach i gardle czułem nieznośną suchość i zagę. Rozpalona rękojeść browninga piekła mnie w dłoń i palce. Więc wypuściłem z ręki broń, która padając wystrzeliła. Zaczęło tlić się na mnie ubranie...

Na oślep, dusząc się od dymu i swędu, dopadłem okna i wybiwszy pięścią szybę, wyskoczyłem na zewnątrz. W tym momencie doszedł mnie złowrogi trzask przepalonych belek pułapu...

Świeży powiew nocnego wiatru przywrócił mi gasnącą przytomność. Odetchnąłem i obejrzałem się na płonąca rudę. Wtedy z nieopisanym zdumieniem spostrzegłem, że pożar ustał. Przede mną czernił się znowu martwy i głuchy kontur domu; dym i płomień wsiąkły gdzieś bez ślalu. Zajrzałem przez wybitą szybę w głąb trzeciej izby. Było ciemno tam wewnątrz, choć oko wykol; najłżejszy szmer nie przerywał ciszy. Więc obszedłem zagrodę wokół, by po raz drugi wejść ze światłem do środka. Lecz nie znalazłem teraz już nikogo. Jastron zniknął. Tylko na podłodze leżał mój wystrzelony browning i niedopałek mego papierosa.

Podniosłem broń i obejrzawszy naboje, schowałem do kieszeni.

— Wymknął mi się powtórnie — mruknąłem, zwracając zły i zbity z tropu ku wyjściu.

Już na progu odwróciłem się raz jeszcze, by po raz ostatni obrzucić spojrzeniem to miejsce przekłete i ten dom. Światło mej latarki padło na trójkątny przyczółek dachu i oświetliło jego godło. Brzmiało charakterystycznie: „Gospoda pod Miętusem”. — Budynek był szczątkiem dawnej rybackiej austerii<sup>170</sup>...

## KUKŁA

W trzy dni po nieudanej wyprawie do zagrody „Pod Miętusem” otrzymałem list od Kamy. W formie bezwzględnej, posłuch absolutny nakazującej, naznaczała mi schadzki w domu przy ulicy Parkowej.

W pierwszej chwili chciałem natychmiast skomunikować się z Wieruszem i zasięgnąć jego rady; potem zmieniłem zamiar. Żądza zobaczenia choćby raz jeszcze tej dziwnej istoty wzięła górę nad rozważą i sumieniem; nie mogłem się oprzeć pokusie. Obrazy przeżytych z nią chwil, chwil niezwykłych, jedynych, powróciły w szkarłacie wspomnień i złamały mą wolę. Poszedłem...

Poszedłem i nie żałuję — mimo wszystko, co potem przyjąć miało, nie żałuję. Jestem głęboko przekonany, że żadna kobieta na świecie nie potrafiłaby dać mi tej pełni rozkoszy, jakiej doznałem wtedy w ten wieczór — w ten nasz ostatni, pożegnalny wieczór. Jakby w przeczuciu, że nigdy się już więcej nie zobaczymy, zapragnęła w godzinę rozstania utrwalić mi się w duszy niezatartym wspomnieniem. I dopięła celu. Nie zapomnę jej nigdy!

Wicher miłosnego szału, który w tę noc miotał nami w pożodze krwi i zapamiętania, przepalił mi ciało i spopielił duszę. I dziś jestem jak wygasły krater wulkanu...

O Jastroniu i Andrzeju nie mówiliśmy wcale. Nie wspominała o nich ani razu w ciągu krótkiej, upalnej nocy. Usta jej pełne, soczyste jak winogrod nabrzmiały treścią jesieni, miały dla mnie tylko piessczotę — nie wyszło z nich ani jedno słowo wyrzutu lub skargi...

Gdy nad ranem, wyczerpany rozkoszą i bezsennością, leniwym krokiem przechadzałem się po pokoju, wzrok mój padł na woskową figurkę umieszczoną pod szklanym kloszem na kominku. Coś mnie zastanowiło w twarzyczce kukły, zresztą śmiesznej i karykaturalnej — jakiś rys skądś mi znany. Korzystając z chwilowej nieuwagi Kamy, która

<sup>170</sup>austeria (daw.) — zajazd, karczma. [przypis edytorski]

rozczesywała w lustrze swe bujne, rude warkocz, podniosłem kłosz i wyjąłem figurkę. Wtedy spostrzegłem, że wyobraża kobietę i że głowę jej zdobią jasne, popielatoblond włosy. Z dreszczem nieokreślonej trwogi poznałem je po barwie i ciepłym, metalicznym odcieniu; były to włosy Halszki Grodzieńskiej...

Bez namysłu schowałem kukłę do wewnętrznej kieszeni żakietu... W parę minut później pożegnaliśmy się.

Zamyślony zeszedłem w dół schodami. U wyjścia odwróciłem się, by przekonać się, że i tym razem zaszła szczególna metamorfoza miejsca. Byłoby fikcją mego chorego mózgu te schody obite czerwonym kobiercem i ten koryncki krużganek?...

Byłoby nią i moja demoniczna kochanka?...

---

Następstwa odnowienia stosunku z Kamą były fatalne. Wkrótce po mej ostatniej schadzce w domu Wierusza zaczęła Halszka skarżyć się na gwałtowne bóle w całym ciele. Przychodziły nagle, ni stąd, ni zowąd, i trwały nieraz przez parę godzin z rzędu bez przerwy, pozostawiając po sobie jako ślad ogromne wyczerpanie. Biedna dziewczyna moja wyszczupiała w przeciągu kilku dni w sposób zatrważający; na twarz jej położyła nagle i wyciągniętą przez cierpienie wystąpił ceglasty rumieniec, w oczach płonęły trawiące ognie gorączki. Sztuka lekarska okazała się znów w tym wypadku bezradną. Przyzwani do łóżka chorej wybitni interniści, dr Biegański i Mokrzycki, stanęli wobec problemu nie do rozwiązania. Stwierdzili wprawdzie, że organizm panny Grodzieńskiej zdradzał zagadkową przemianę krwi, lecz przyczyny choroby i środków zaradczych podać nie umieli. Zrozpaczony uciekłem się ponownie do pomocy Andrzeja...

Było w same południe 24 czerwca r. 1910. Straszliwa, biała od blasków słońca godzina trwa wciąż niezmiennie na zegarze mego życia...

Pamiętam, jak młode, zielone gałązki modrzewi pozdrowiły mnie po drodze u wejścia do parku, jak przefrunęła mimo para ślicznych dzieci w pogoni za obręczą, jak zaczął mnie biedny kamlot<sup>171</sup> z pękiem gazet pod pachą. Takie drobne, takie śmiesznie błahе szczegóły — a jednak — a jednak ktoś mi je kazał zapamiętać na zawsze. Silny, przejaśkrawiony do barw obłędu obraz zdarzeń, które miały wnet potem nastąpić, rzucił otęczał promieni na wszystko, co je poprzedziło, i wciągnął w krąg swój magiczny szczegóły uboczne... Gdy wchodziłem w próg domu Andrzeja, była dwunasta.

Przyjął mnie z chmurą na czole i wyrzutem w oczach. Nie mówiliśmy nic o Kamie, chociaż z zachowania się przyjaciela poznałem, że wiedział o wszystkim.

— Musisz koniecznie raz jeszcze widzieć się z tą wiedźmą — rzekł po wysłuchaniu mej relacji o stanie zdrowia Halszki.

— Po co? — zapytałem przygnębiony.

— Ona musi mieć u siebie coś, co należało dawniej do Halszki: jakiś przedmiot, może wstążkę do włosów, może coś z ubrania. Musisz to jej stanowczo odebrać, rozumiesz? Odebrać i oddać natychmiast w moje ręce.

Nagle przypomniałem sobie woskową kukłę. Dziwna myśl przemknęła przez głowę.

— Zdaje mi się, że ta figurka może ci się na coś przydać.

Wydobywszy z kieszeni lalkę, podałem ją Andrzejowi:

— Znalazłam to u niej na kominku pośród cacek buduarowych<sup>172</sup>. Włosy tej kukły należą niewątpliwie do Halszki: jest to ten sam jasny, bezcenny pukiel, który zgubiłem wtedy, w noc sabatową. Pamiętasz?

— Pamiętam — odparł, biorąc skwapliwie do ręki woskowy odlew. — Pamiętam — powtórzył ciszej, oglądając figurkę starannie ze wszystkich stron. — Mówiłeś mi o tym swego czasu; już wtedy zrodziło się we mnie podejrzenie, że owa „zguba” nie jest czymś przypadkowym.

Umieścił sobie kukłę na dłoni i zapytał, uśmiechając się zagadkowo:

— Czy wiesz, kogo ta figurka ma wyobrażać?

— Nie.

— Twoją narzeczoną.

— Wolne żarty.

---

<sup>171</sup>kamlot (z fr.) — uliczny sprzedawca gazet. [przypis edytorski]

<sup>172</sup>buduarowy — przynależny do buduaru, tj. kobiecego pokoju do odpoczynku. [przypis edytorski]

— Mówię całkiem serio. Przy podobnych praktykach nie chodzi bynajmniej o podobieństwo rysów i postaci; kształt odgrywa tu rolę podrzędną — rozstrzyga intencja, zamiar. Lalka — to tylko symbol, to tylko taki sobie znak algebraiczny, wprowadzony w miejsce osoby, której się chce zaszkodzić. Wystarczy, jeżeli operujący nim czarny mag powie sobie, że oznacza ona pewne ściśle określone indywiduum. W naszym wypadku usuwają wszelkie wątpliwości co do intencji owe włosy, które rozpoznałeś.

— Tak; to jest pukiel włosów, który zginął mi wraz z medalionem.

— Pi, pi, pi! — zawołał nagle Wierusz, przybliżając do oczu ręce lalki. — Oglądałeś te palce?

— Istotnie zdumiewające! Nie brak nawet paznokci. Co za precyzja w wykonaniu!

— Raczej dokładność i gruntowność. Czy wiesz, czyje te paznokcie?

— Przypuszczam, że sztuczne, zrobione z jakiejś masy.

— Ja, przeciwnie, sądzę, że też należą do Halszki. Kama musiała je zdobyć w jakiś sprytny sposób.

Słowa Wierusza rozdarły ostrym błyskiem przypomnienia półcień chwil ubiegłych.

— Poczekaj — rzekłem, trąc czoło — coś sobie przypominam... Aha!... Mam! Halszka wspominała mi raz, może rok temu, o jakiejś dziadówce, która zastała ją na werandzie przy porannym *manicure*...

— A zatem miałem słuszność.

— Ale jaki właściwie związek ma to wszystko z chorobą Halszki?

— Bardzo prosty i wyraźny. Wskutek włączenia w organizm tej woskowej figurki włosów i paznokci rywalki nawiązała Kama między nią a jej sobowtórem-kukłą astralną stosunek sympatii i wzajemności. Mając w swej mocy tak spreparowaną lalkę, uzyskała tym samym władzę niemal absolutną nad ciałem Halszki.

— Rzecz nie do wiary! Jeżeli to, co mówisz, jest prawdą, biedna dziewczyna jest zgubioną! Ale, nie, nie! To przecież niemożliwe! W jaki sposób posiadanie czyichś włosów lub paznokci może oddać władzę nad nim komukolwiek?

— Komukolwiek — nie; tylko temu, kto obznajmiony jest z arkanami czarnej magii. Pamiętaj o tym, że każda, choćby najmniejsza, drobina naszego ciała, co więcej, każda, choćby krótko przez nas noszona część ubrania, nawet jakikolwiek przedmiot wzięty przez nas przelotnie do ręki, przepojony jest w większej lub mniejszej mierze naszymi fluidami. Na wszystkim, czego się tylko tknie, pozostawia człowiek po sobie ślad swego astrosomu<sup>173</sup>. W momencie kontaktu odrywa się od nas coś z przenikającej nas na wskroś psychofizycznej aury i przywiera do rzeczy dotkniętej. Osobniki hiperwrażliwe umieją nieraz wyczuć szczątki astralnych pozostałości na ubraniach lub przedmiotach, które należały do ludzi zmarłych nawet przed kilkunastu laty.

— Astralne remanenty — szepnąłem zamyślony.

— Tak. Im to właśnie zawdzięczamy cały szereg zjawisk zakresu tzw. psychometrii<sup>174</sup>.

— Przypuśćmy tedy, że rzeczywiście udało się Kamie wytworzyć w ten sposób ów szczególny związek między łąką a Halszką — cóż stąd? Dlaczego to miałyby u niej wywołać objawy chorobliwe?

Zamiast odpowiedzi Andrzej przybliżył mi do oczu kukłę.

— Widzisz te otworki porozrzucone w rozmaitych punktach ciała woskowej pałuby<sup>175</sup>?

— Hm. Istotnie. Wyglądają jak dołki i rowki, powstałe od nakłucia szpilką.

— Właśnie. To są ślady magicznej operacji, przedsięwziętej przez Kamę w celu zniszczenia zniechęconej rywalki.

— To niemożliwe! To nonsens!

— To fakt nie ulegający dla mnie wątpliwości. Jest rzeczą dowiedzioną od dawna, że wszelka rana zadana takiej kukle odbija się straszliwie wiernym echem na ciele jej pierwowzoru. Kama, nakłuwając szpilką woskową tę lalkę, tym samym zadawała na odległość niewidzialne rany Halszce.

<sup>173</sup>*astrosoma* (gr.) — ciało astralne. [przypis edytorski]

<sup>174</sup>*psychometria* (z gr.) — obecność śladów psychicznych osoby w zamieszkiwanej przez nią przestrzeni. [przypis edytorski]

<sup>175</sup>*pałuba* (daw.) — niekształtna lalka. [przypis edytorski]

— To szaleństwo i zabobon! — krzyknąłem wzburzony. — To przesąd niegodny człowieka XX wieku! — Ty się mylisz, Andrzeju!

— Mówię prawdę. Operacja czarnoksięska, chociażby była zabobonna i nacechowana szaleństwem ciemnoty, bywa mimo to niejednokrotnie skuteczną i cel swój zgubny osiąga, o ile jest realizacją silnej, skoncentrowanej w sobie woli. Narzędzie, którym się mag przy swych praktykach posługuje, jest tylko symbolem wielkiego czynnika magicznego, który pod wpływem złej woli operatora zamienia się w trujący wicher astralny. Biada temu, w czyją stronę skieruje on swe zabójcze prądy!... Magia czarna jest w istocie swej kultem szatana, jest znieprawieniem Dobra spotęgowanym do granic obłądnego paroksyzmu. Jest to stek świętokradztw i zbrodni, których celem znieprawienie do gruntu woli i natury ludzkiej, a ideałem przekształcenie człowieka w ohydny koszmar demona!

Namiętny ton, jakim Wierusz wypowiedział ostatnie słowo, sprawił na mnie wrażenie; czułem, że moc jego przekonania zaczyna mi się udzielać.

On tymczasem zdjął z półki bibliotecznej parę starych, w pomarańczowy safian oprawionych tomów i rozłożywszy je przede mną na stole, mówił:

— Znany był ten straszliwy proceder już jednemu z najstarszych ludów na ziemi, tajemniczemu szczepowi Akkadów<sup>176</sup> w Azji, znali go starożytni Hindusi, Żydzi, Egipcjanie i Grecy; rozpętał się też istną orgią szału i zbrodni w ponurym średniowieczu. Znasz tę książkę? — zapytał nagle, podając mi gruby, drobnym gotykiem zapelniony foliał.

— *Johannis Baptistae Porta Magiae naturalis libri XX* — odczytałem stronicę tytułową.

— Niezwykła książka — mówił Wierusz, z pietyzmem przerzucając karty. — Jedno z podstawowych dzieł starszego okultyzmu. A oto masz ponurego Glanvilla<sup>177</sup> i jego *Sadducismus triumphatus* — księga dziwna jak szaleństwo i groźna jak wizja opętanego. Obaj ci ludzie, lubo rozdzieleni czasem, narodowością i przestrzenią, wierzyli mocno w potęgę czarów i kult szatana.

Wziąłem do ręki ciężki, w pergamin ujęty tom, z winiętą przypominającą genialny cykl fantazji Goyi pt. *Caprichos*.

— Cóż to znów za książka?

— To Del Rio i jego *6 ksiąg Badań magicznych*. A tuż obok *Pseudomonarchia demonów* i *Zwodnicze majaki szatańskie* jednego z najfanatyczniejszych tępicieci satanizmu i czarownictwa w Niemczech, Jana Wiera<sup>178</sup>. Znajdziesz tu i niesamowitą *Demonomanię magów* mistrza Bodina<sup>179</sup>, i Remigiusza z Lotaryngii *Demonolatrię*, Hieronima Cardanusa<sup>180</sup> *O różnorodności rzeczy* i Tomasza Campanelli<sup>181</sup> *O istocie rzeczy i magii*. Żaden z nich nie wątpi w skuteczność astralnych projekcji na odległość, chociaż w miarę postępu wiedzy i badań nad naturą ludzką przyjmują one u każdego coraz to inną nazwę. Lecz istota przejawu pozostaje ta sama: zła, występna i tajemnicza.

— Dlaczego jednak dzisiaj nie słyszy się o podobnych praktykach?

— Mylisz się, Jerzy. Dziś dzieje się to samo, lubo rzadziej i w zmienionej formie. Czy nie słyszałeś nic o doświadczeniach wybitnego psychiatry francuskiego Boiraca i jego *Psychologie inconnue*<sup>182</sup>? Lub o eksperymentach pułkownika de Rochas?

— Coś sobie przypominam. Podobno ten ostatni pisał o eksterioryzacji wrażliwości?

— Właśnie o to chodzi. Doświadczenia jego i Boiraca z nakłuwaniem powierzchni wody w szklance, na którą przeniesiono w części otoczkę wrażeniową pacjenta, znane są dziś już powszechnie wśród psychiatrów i neurologów.

— Byłyby te zjawiska współmiernymi z gusłami półobłąkanych histeryczek średniowiecza?

— Niewątpliwie — tylko bez przymieszki demonizmu. I u nas, w Polsce, istnieje jeszcze po dziś dzień między ludem wiara, że za pomocą odlewanych figurek z wosku lub

<sup>176</sup> Akkadowie — lud semicki, zamieszkujący Mezopotamię od III tysiąclecia p.n.e. [przypis edytorski]

<sup>177</sup> Glanvill, Joseph (1638–1680) — ang. filozof i demonolog. [przypis edytorski]

<sup>178</sup> Wier (Weyer), Johannes (1515–1588) — niemiecki demonolog. [przypis edytorski]

<sup>179</sup> Bodin, Jean (1530–1596) — fr. polityk i demonolog. [przypis edytorski]

<sup>180</sup> Cardano, Geronimo (1501–1576) — matematyk, lekarz, filozof i astrolog włoski. [przypis edytorski]

<sup>181</sup> Campanella, Tommaso (1568–1639) — filozof włoski. [przypis edytorski]

<sup>182</sup> *psychologie inconnue* (fr.) — psychologia nieznaną. [przypis edytorski]

ołowiu można czarować. O tym świadczy przedmowa do klasycznego pod tym względem dzieła z XVII w. pt. *Czarownica Powołana*. Podobnie mówią akta kryminalne miasta Poznania z r. 1544 o spaleniu żywcem na stosie za czary Doroty Gnieczkowej, która na prośbę pani Kierskiej „lała wosk na wodę, dochodząc do tego, kto jej był pieniądze ukradł. A lejąc ten wosk, mówiła była te słowa, odmówiwszy przódzi trzy pacierze: — Poszła była miła Panna Maria; czekał Ją Syn Boży i pyta: — Gdzie idziesz, Matuniu moja miła? — Idę, mój miły Synu, zamawiać tego złodzieja, który uczynił złość tej pani. — Zamawiaj, Panno Czysta, Swoją mocą boską, mocą wszystkich Świętych Pańskich i *moją mocą*, iżby tu stanął ten człowiek, który wziął te pieniądze, w imię Ojca i Syna i Ducha Św. Za tymi słowy, gdy też już wosk wylała, ukazał jej się służebnik pani Kierskiej, który pieniądze namienione był ukradł, jakoby palec, w tejże postaci, w której prawie był, a przy nim duże gromady pieniędzy; a on po nie sięgał i ze dwa razy te pieniądze brał”.

— Zastanawia świętokradcze kojarzenie osób świętych z praktyką czarodziejską.

— Rzeczywiście. Podobne próby wciągania żywiołów przejętych z kultu chrześcijańskiego w świat guseł i procederów czarnoksięskich spotykamy nierzadko w rocznikach naszego okultyzmu. Są to objawy religijnej perwersji, której szczytem cześć dla Szatana i czarna msza.

— Czy słyszy się cośkolwiek o operacjach tego rodzaju związanych z postaciami historycznymi?

— Owszem. Właśnie wspomniany przeze mnie Del Rio, którego *Disquisitiones magicae*<sup>183</sup> przed chwilą oglądałeś, mówiąc o tajemniczej śmierci króla francuskiego, Karola IX, utrzymuje, że zginął on wskutek tzw. przebicia *in effigie*<sup>184</sup>, dokonanego przez heretyków z zemsty za prześladowanie ich wiary. — Nasz poczciwy Benedykt Chmielowski tak opisuje ten proceder w swych *Nowych Atenach*:

„Heretycy więc takich znaleźli czarnoksiężników, którzy portret jego, alias osobę uformowawszy z wosku *ad instar*<sup>185</sup> króla, ten portret potem różnymi kłuli instrumentami to w głowę, to w bok, to w serce, to w nogi; a król żywy w tych samych członkach w te same czasy nieznośne ponosił boleści przez najdoskonalszych nie uśmierzone medyków”.

— Przyznasz jednak sam, że chyba niepodobna<sup>186</sup> w tych sprawach zasłaniać się „powagą” autora *Nowych Aten*?

— Zapewne. Zresztą przytacza on opinię cudzą, nie własną. Poza tym rzecz była zbyt głośna w swoim czasie i nie stanowi faktu odosobnionego. Mógłbym ci podobnych wypadków naliczyć tysiące. W Anglii np. wydano za Henryka I specjalne ustawy karzące takich odlewaczy woskowych figurek, znanych wtedy pod nazwą *vultivoli* lub *vultuarii*. Również Walter Scott w jednym ze swych listów o demonologii mówi, że w Szkocji przypisywano śmierć króla Duffusa przebicciu jego wizerunku odlanego z wosku.

— Rzecz wygląda tak fantastycznie, że trudno uwierzyć. Słucha się tego wszystkiego jak opowieści wylęglej w mózgu naiwnym i przewrotnym zarazem. Podziwiać tylko się musi złośliwość inwencji.

— Demonizm natury ludzkiej przyobleka najdziwniejsze kształty i formy. Ponura groza, wiejąca z obrzędów niektórych ludów pierwotnych, kojarzy się w zagadkowy sposób z humorystyką ekspresji i stwarza niesamowity stop, który nazwano groteską. Z otchłani życia wyglądają ku nam od czasu do czasu dziwnie uśmiechnięte maskary.

— Śmiech i groza — szczególne połączenie!

— Szczególne, a tak przecież częste. Czyż to nie charakterystyczne, że trupie głowy są zawsze uśmiechnięte?

Opuścił głowę i przez chwil parę siedział pogrążony w zadumie.

— Symbolika guseł ludowych — podjął po czasie — pełna wewnętrznej treści i znaczeń, kryje zarodki głębokiej filozofii. Trzeba tylko umieć odczytywać te znaki...

Wyciągnął rękę po ciężki foliał in quarto w wiśniowej oprawie, zamknięty na miedzianą klamrę.

Śmiech, Śmierć

<sup>183</sup>*Disquisitiones magicae* (łac.) — badania magiczne. [przypis edytorski]

<sup>184</sup>*effigie* (łac.) — w podobiznie, za pośrednictwem obrazu. [przypis edytorski]

<sup>185</sup>*ad instar* (łac.) — na podobieństwo. [przypis edytorski]

<sup>186</sup>*niepodobna* (daw.) — nieprawdopodobne, niemożliwe. [przypis edytorski]



— Moje ukochane dziwadła! — ciągnął dalej, otwierając księgę. — Oto żmudnie zebrane przeze mnie najstarsze polskie książki i pisma czarnoksiężskie. Przeczytaj!

— *Czarnoksięgu Polskiego ręką Andrzeja Wierusza, adepta Wiedzy Tajemnej, sporządzonego ksiąg pięć, czyli Polski Pentateuch*<sup>187</sup> Czarodziejski.

— Czytaj dalej!

— „Księga pierwsza: *Postępek prawa czartowskiego* z roku Pańskiego 1570. — Księga wtóra: Stanisława Poklateckiego *Pogrom czarnoksiężskich błędów, latawców zdrady i alchemiczne fałszy* z r. Pańskiego 1595. — Księga trzecia: *Thesaurus Magicus*<sup>188</sup> z r. 1637. — Księga czwarta: *Czarownica Powołana* z r. 1639. — Księga piąta i ostatnia: *Appendix*<sup>189</sup>, *czyli przepisy i recepty czarodziejskie zbieranej drużyny*”.

— A teraz poszukaj na stronie 323!

— Jest.

— Czytaj od trzeciego wiersza z góry!

— „Przepisy w materii używania czarodziejskiej kukły: *homunculus cerreus*<sup>190</sup> *alias*<sup>191</sup> człowiekiem woskowym zwanej”. — Charakterystyczny nagłówek!

— Co dalej?

— „Skoro już w *homunculusa* onego stworzonego na obraz a podobieństwo upatrzonej ofiary włosy też zaczniesz alboli zęby, wtedy luk przygotuj. A luk ten winien być z tarniny, a cięciwę mieć z włosów kozła, zaś strzałę z ości rybich lub gwoździ podkowy. Gdy tedy człowieczka onego i luk tarninowy nadobnie przysposobisz, czekajże cierpliwie konstelacji Saturna albo Marsa.

A skoro figury one wrogie na niebie zaświtają, luk napnij i strzałę wypuść w pierś kukły serdeczną...”

— *Clausura nigromanticae*<sup>192</sup> — objaśnił Wierusz. — Jakby wyjęta skądś z Paracelsa. Przerzuć dwie kartki i czytaj dalej!

— „W noc cichą, w noc księżycową zwierciadło weź panieńskie, zwierciadło, co odbiło już nieraz kraśne lico, i zanurzywszy w kadz z wodą, obróć gładzią ku światłu. A gdy już księżyc wszędzie i w głąb kadzi zajrzy, rzuc na zwierciadło owo wieniec ze strzępów koszuli skalanej krwią dziewczki, co chorobę przebywa miesięczną. Wieniec ten, gdy się już światłem księżycy nasyci, na głowę włóż kukle...”

— Fragment bez końca.

Obróciłem znów kartę i czytałem dalej:

— „Rozdział 10. — Praktyki czarnoksiężskie ludu na Kujawach w wieku XVII. — ...Jeśli tedy kogo tobie niemiłego na zdrowiu uszkodzić zapragniesz, ulepże przódzi z wosku albo z gliny świeżej łątko<sup>193</sup> małe, kształtem a posturą czleka onego przypominające, któremu chorobsko zadać chcesz, a ulepiwszy, włosów parę jego spod pachy albo zęb jego, albo paznokiet w przydatku zaczyń... Potem z członków figurynki onej mierę bierz nitką unurzaną w miazdze z rozduśzonego pająka i mierę ową przywiąż do szyi żabie albo leciwej ropusze, co ją w sadzie swoim najdziesz. A skoro już mierę na szyi jakoby pętlę zawieszysz, przekłujże żabie oko igłą, którą szyto przódzi żgło<sup>194</sup> dla czleka zmarłego... Wierę w tydzień najdalej wróg twój serdeczny ciężko zaniemoże...”

— Czy nie dostrzegasz w tej naiwnie złośliwej receptce czegoś w rodzaju metody sympatycznej? — zapytał, uśmiechając się pobłaźliwie, Andrzej.

— Rzeczywiście: ciekawy związek między kukłą, zwierzęciem i ofiarą.

— Jeżeli chcesz wiedzieć coś o homeopatii magicznej względnie o tzw. *magia contagiosa*, czyli magii zakaźnej, posłuchaj, jak brzmi najbliższy z kolei przepis:

— „Przywiąż *homunculo* do szyi szmatę przepojoną krwią chorej niewiasty i ochłap ścierwa ze świni lub zarażonej owcy, a przywiązawszy, miarę przyłóż z nici czarami uświę-

<sup>187</sup>*pentateuch* (gr.) — pięćksiąg. [przypis edytorski]

<sup>188</sup>*Thesaurus Magicus* (łac.) — skarbiec magiczny. [przypis edytorski]

<sup>189</sup>*Appendix* (łac.) — dodatek. [przypis edytorski]

<sup>190</sup>*homunculus cerreus* (łac.) — woskowy człowieczek. [przypis edytorski]

<sup>191</sup>*alias* (łac.) — inaczej. [przypis edytorski]

<sup>192</sup>*clausura nigromanticae* (łac.) — zamknięcie magiczne, konstelacja magiczna (mowa o czarnej magii). [przypis edytorski]

<sup>193</sup>*łątko* (daw.) — kukielka. [przypis edytorski]

<sup>194</sup>*żgło* (daw.) — koszula śmiertelna. [przypis edytorski]

conej. Wrychło ciało tego, na czyją intencją *homunculus* ulepion został, pokryje się wrzodami i zmarnieje...”

— Jeżeli wszystkie te szatańskie zabiegi choć w części osiągały kiedykolwiek zamierzony skutek, a nie są tylko wytworem obłąkanych mózgów, dobrze zrobiłem, usuwając tę kukłę ze sfery wpływów Kamy.

— Niezawodnie. Kama jest tym groźniejszym przeciwnikiem, że zbrojnym w wysoką inteligencję i wtajemniczonym w arкана wiedzy magicznej. Mylisz się jednak zasadniczo, jeżeli przypuszczasz, że figurka ta wyszła już poza linię jej „magicznego obstrzału”!

— Przecież jest w naszych rękach!

— To nie zmienia sprawy. Mimo wszystko Kama pozostaje z nią ciągle w astralnym kontakcie i przez nią może w dalszym ciągu szkodzić Halszce.

Opuściłem bezradnie głowę.

— Co robić zatem? Czy nie ma już ratunku?

— Owszem, lecz musisz zgodzić się na ewentualną „śmierć” Kamy.

— Śmierć?

— Śmierć względnie powrót w dziedzinę żywiołu, z którego pochodzi.

— Wybieram to drugie.

— Niestety, wybór nie od ciebie zależy.

— Więc od kogo?

— Od tego, w jakiej formie bytowania znajduje się Kama w chwili obecnej. Jeżeli znów opanowała astral Jastronia i jest kobietą, musi zginąć — jeżeli zaś jest znów tylko salamandrą, dozna prawdopodobnie tylko czasowego wstrząśnienia na drodze magicznej, a powrót w ludzkie ciało zostanie jej uniemożliwiony na wieki.

— Czyń więc, jak sam uznasz za stosowne.

— Dobrze zatem. Lecz uprzedzam, że walka, którą podejmujemy w tej chwili, jest rozstrzygającą i dlatego ryzykowną; narażamy życie obaj.

— Jestem gotów oddać je za życie Halszki. Zbyt ciężko względem niej zawiniłem.

Andrzej uściskał mi rękę.

— Przede wszystkim muszę rozluźnić związek między Halszką a jej woskowym sobowtórem — rzekł, zdejmując z palców kukły paznokcie i usuwając włosy z głowy. — Tak — teraz kontakt częściowo osłabiony.

Zebrał włosy i paznokcie do kryształowej puszkii i umieściwszy ją sobie na dłoni, zaczął drugą ręką zataczać wkoło niej koliste, współśrodkowe kręgi.

— *All right!* — odetchnął z ulgą po kilku minutach — otoczka gotowa. Teraz są zamknięte bezpiecznie jakby w magicznej kuli. Dostęp ze wszystkich stron odcięty.

Postawił puszkę na stole.

— Lecz to dopiero początek.

— Co zamierzasz?

— Musimy teraz stanowczo i nieodwołalnie przeciąć astralny sznur łączący kukłę z twoją narzeczoną. I tu właśnie grozi nam największe niebezpieczeństwo.

— Dlaczego nam?

— Ta lalka z wosku przepojona jest fluidami Halszki i jej rywalki; fluid pierwszej, niewinny i bierny, połączony astralną pępowiną z jej ciałem fizycznym, pozostaje wciąż pod wpływem Kamy, która wysyła w stronę kukły wicher zgubnie działających prądów. Jeżeli teraz wydzielę pierwiastki astralne panny Grodzieńskiej i każę wrócić im do ich macierzystego źródła, nastąpi miejscowe naruszenie równowagi astralnych form, do której ułożyły się od pewnego już, dłuższego czasu oba fluidy. Ponieważ wszelki ruch astralny odbywa się po linii kolistej, przeto każdy ładunek magnetyczny czy fluidyczny, który nie spotyka na swej drodze upatrzonego celu, musi wrócić do swego punktu wyjścia. Innymi słowy astralne środowisko musi wrócić do nowego stanu równowagi zachwianej wskutek mojej interwencji.

— Z tego wynikałoby, że szkodliwe prądy idące od Kamy powinny do niej powrócić, czy nie tak?

— Naturalnie. Rozpętany wicher astralny, który jest właściwie skoncentrowaną wolą, zawsze osiąga swój skutek i nie może cofnąć się bez wywołania czyjejś śmierci. Jeżeli

przedmiot ataku usunie mu się z drogi lub wyminie go w drodze, zabójczy prąd wraca do tego, kto go wysłał, i godzi weń bez litości.

— Zjawisko zdumiewające! Zatem mag ginie w tym wypadku zatruty własnym jadem?

— Tak. Jest to tzw. w magii „powrotne uderzenie”. W ten sposób nieraz spełnia się na operatorze wielkie prawo „reprobacji”<sup>195</sup>, czyli magicznej „kary osądzenia”.

— Przyszło mi na myśl szczególnie skojarzenie ze znaną historią z Nowego Testamentu o demonach wypędzonych z ciała opętanego w świnie.

— Przykład nader trafny, mój Jerzy. Chrystus, wyzwalający nieszczęśliwego opętańca w ten dziwny sposób, dokonał dzieła świadczącego o Jego wysokiej sile magicznej; było to potężne przerwanie prądu magnetycznego, zakażonego przez złą wolę. Znamienną przy tym jest rzeczą, że czarne siły, które opanowały ciało nieszczęśliwego, musiały przejść w inny, lubo niższy organizm. Wyparty z człowieka wir astralny wszedł w zwierzęta, które z kolei opętane przez demony, rzuciły się w morze i potonęły.

— Zatem właściwie nie nam grozi niebezpieczeństwo w razie rozerwania kontaktu z Halszką, lecz Kamie?

— Tak by należało się spodziewać, gdyby nie jedna okoliczność. Kama z wszelką pewnością wie o tym, że czarny mag, uwalniający kogoś od czaru przez siebie rzuconego, musi mieć w rezerwie drugą upatrzoną ofiarę; w przeciwnym razie prąd ugodzi w niego samego.

— Nie rozumiem. Przecież Kama nie ma chyba zamiaru wypuszczać Halszki spod swej władzy?

— Tak — lecz ja ją do tego zmuszę, przerywając więźbę magiczną między kukłą a twoją narzeczoną. Efekt będzie taki sam, jak gdyby Kama dobrowolnie oswobodziła spod czaru swą rywalkę. Tak czy owak, z pewnością przygotowała się na tę ewentualność i niewątpliwie zadzierżnęła podwójną pętlę. Chodzi tylko o to, komu przeznaczyła rolę ofiary „zastępczej” i kto ma wchłonąć w siebie ładunek wyzwolony z ciała Halszki?

— Teraz rozumiem. Nietrudno domyślić się: jeden z nas.

— Tak: ty lub ja... — Mam wrażenie, że cały mój dom przepojony jest zatrutym jadem tej mściwej istoty. Przeczuję, że siła jej jest olbrzymią i uderzenie będzie potężne. Lecz spróbuję je sparaliżować choć w części.

— W jaki sposób?

— Widzisz tę araukarię?... Mój ulubiony krzew — pamiątka po niej, jedyny, ostatni upominek w dzień rozstania. Jest mocna i pełna soków. Ona nas ocali. Może wytrzyma wicher trującego jadu...

Patrzyłem zdumiony, nie wiedząc, o czym myśli.

— Nie rozumiesz, Jerzy? Zanim przetnę związek z Halszką, połączę kukłę z araukarią.

— Czy się to na co przyda?

— Może choć w części. To też istota organiczna. Może przyjmie w swe zielone łono cios przeznaczony dla jednego z nas.

I wykonał ręką w powietrzu między figurką a sosną parę łukowatych, zamykających niby zwora magnetyczna, pociągnięć.

— Połączenie dokonane — rzekł opuszczając rękę. — Teraz przystąpimy do rozerwania łańcucha z Halszką.

Spojrzał mi głęboko w twarz. W siwych, bystrych oczach ujrzałem wtedy po raz pierwszy dwie ciche, męskie lzy...

— Jerzy! — rzekł silnie wzruszony. — A teraz na wszelki wypadek przyjdzie nam się pożegnać. Może to nasz dzień ostatni. Żegnaj mi, Jur!... Kochałem cię jak syna... Do widzenia!... na tamtym brzegu!...

Rzuciłem mu się w ramiona na długą, długą chwilę. Łkanie zdławiło mi słowa...

W parę minut potem Andrzej „szukał” już kierunku, w którym rozpiął się „astralny węzeł”. Z oczyma wbitymi w przestrzeń, z wyprężonymi w przestwór ramionami krążył dookoła osi pionowej własnego ciała jak fakir zaklęty w wir tańca. Wreszcie znalazł... Stanął w miejscu jak wryty i zaczął wykonywać rękoma szczególne, zrazu dla mnie nieuchwytny ruchy. Po pewnym czasie wyróżniłem w nich dwie linie; jedna zmierzała

<sup>195</sup>reprobacja (z łac.) — dezaprobata a. potępienie. [przypis edytorski]

wyciągniętą krzywizną ku nam, druga odginała się w stronę wprost przeciwną; układ ich przypominał nader hiperbolę...

Nagle Wierusz sprężył się w sobie jak do skoku i podniósłszy dłoń prawą do góry, przeciął nią gwałtownie przestrzeń w rozstępie między niewidzialnymi liniami. Mimo woli zadrzałem...

A on, oparłszy mi ciężko rękę na ramieniu, wskazał oczyma araukarię:

— Popatrz tam!

Wtedy to w czasie krótszym od mgnienia sekundy stało się z pięknym, rozkosznym krzewem coś straszliwego. Jak pod dotknięciem ognistego wichru pustyni zmienił momentalnie barwę; miejsce soczystej zielonej rośliny zajął wazonie rudordzawy, przeżarty gorączką jej szkielet. Jeszcze przed chwilą bujne, prężne splewy opadły bezradnie ku trzonowi, poskręcały się w suche zwitki zwarzone jadem liście, wykrzywiły się w konwulsjach bólu pień i gałęzie. W oczach naszych sosna skołała...

Lecz zanim zdołałem otrząsnąć się z przerażenia, rozległ się dookoła nas głuchy, złowieszczy łoskot. Instynktownie zwróciłem się ku Andrzejowi:

— Co to?

Twarz przyjaciela była trupio blada, oczy fosforyzowały dzikim, błędnym światłem.

— Rysują się mury mego domu — odpowiedział bezdźwięcznie.

Popatrzyłem po ścianach: Wierusz miał słuszność; na wszystkie strony od posadzki do sufitu biegły po nich, krzyżując się złowrogo, długie, rozsadzające mur żyły...

Uczulem, jak ręka Andrzeja wpija mi się kurczowo w ramię.

— Spójrz w tamtą stronę! — wyszeptał zbielełymi wargami. — Tam, tam, za biurkiem, w kącie, pod ścianą!... Widzisz?!... To on!...

Wśród piekielnego łomotu rozstępujących się ścian ujrzałem w rogu pokoju na podłodze wylaniające się nagle nagie ludzkie ciało — nie! — szkielet, okropnie wychudły, okryty żółtą jak pergamin skórą szkielet człowieka. Od szyi jego aż do stopy lewej biegła na ukos podłużna, czarno krwią podeszła pręga jak od uderzenia pioruna. W jednym miejscu, gdzie porażenie było najsilniejsze, pękła skóra na szerokość dwu palców, ukazując czarne, zwęglone doszczętnie mięso... Straszliwą musiała być siła, która przeszła przez ten łachman człowieczy...

Spojrzałem na twarz małą, wykrzywianą w okrutnym uśmiechu, z ostrą, ryżą bródką i poznałem Jastronia...

Jak przez sen zabrzmiały mi jeszcze w uszach ostatnie, westchnieniu konającego podobne słowa Andrzeja:

— *Jego* wybrała...

Huk, wstrząsający posadami świata, huk i łoskot zagłuszyły wszystko. Zachwiały się ściany, zakolysały stropy i z upiornym łomotem runęły w proch. W okamgnieniu willa zamieniła się w rumowisko drobnych, oślepiąco białych odrzugów. A w pośrodku startego na biały miał domu stałem ja, cudem ocalały człowiek. Przede mną o parę kroków leżały półzasypane gruzem zwłoki Jastronia, nade mną świeciło popołudniowe słońce...

— Andrzeju! — zawołałem głosem bezradnego dziecka. — Andrzeju!

I obejrzałem się wkoło, szukając przyjaciela. — Na próżno! Wierusz zniknął. Byłem sam — zupełnie sam...

Wśród blasków pastwiącego się nad pustką słońca wypełzła spod rumowia duża, złotoczarńca jaszczurka, przebiegła w poprzek ciało Jastronia i wśliznęła się z powrotem pomiędzy gruzy... Straciłem przytomność...

## EPILOG

Po długiej, nieskończenie długiej nocy ujrzałem nad sobą czyjąś twarz. Była znajoma mi i życzliwa. Podniosłem się i wyciągnąłem rękę. Ujęła ją dłoń ciepła i przyjacielska.

— Nie wolno się ruszać! — mówił ktoś pochylony nade mną.

— To pan, panie doktorze? — zagadnąłem, przemagając ogromne znużenie, które przyciskało mi powieki żelaznymi palcami.

— Nie wolno mówić — brzmiał ten sam głos z wielkiej oddali.

Wbrew zakazowi usiadłem na łóżku. Poznałem dr. Biegańskiego.

— Gdzie jestem? Czy Wierusz wrócił?

— U siebie w domu. Pana Wierusza nie znam.  
 — Kto mnie tutaj przyniósł? Czy od dawna tu leżę?  
 — Powoli, powoli. Proszę leżeć cicho i nie wykonywać żadnych gwałtownych ruchów. Przebył pan szczęśliwie nader poważną chorobę; wszelkie wzruszenia mogłyby panu zaszkodzić.  
 — Którego mamy dzisiaj? — rzuciłem okrężające pytanie.  
 — 26 lipca.  
 Policzyłem dni i zrobiło mi się nieswojo.  
 — Więc aż cały miesiąc leżałem w malignie?  
 — Mniejsza o to, od kiedy i jak długo; dzięki Bogu, niebezpieczeństwo minęło.  
 — Co to było? Chyba zapalenie mózgu? Co?!  
 — Panie Jerzy — odpowiedział wymijająco lekarz — co zależy na rodzaju choroby? Nomenklatura obojętna. Przeszło, minęło — myśłmy o chwili obecnej. Jak się pan czuje?  
 — Jestem straszliwie wyczerpany.  
 — Naturalnie. Przez parę tygodni żywiłeś się pan niemal wyłącznie kwaśnym mlekiem w dawkach minimalnych.  
 — Czy był tu Wierusz?  
 — Nie było nikogo. Przyszły tylko pocztą z początkiem lipca dwa listy; leżą tam na biurku nie rozpieczętowane.  
 — Dziękuję panu, doktorze! Ocaliłeś mi życie.  
 Uścisnąłem mu rękę.  
 — Głupstwo. Teraz muszę odejść na parę godzin. Wieczorem zajrzę tutaj znowu. Pozwalam panu zjeść dobry rosół i kawałek białego mięsa; najlepiej coś z drobiu. Do widzenia!  
 Ledwo wyszedł, wyskoczyłem z łóżka.  
 — Listy, listy!  
 Drżącą ręką rozlałem pieczęci. Pierwszy był od pani Stanisławy Grodzieńskiej z datą 28 czerwca.

„Łaskawy Panie Jerzy! — pisała matka Halszki. — Od czterech dni nastąpiło w chorobie Halszki szczęśliwe przesilenie; bóle ustały nagle 24 bm. w godzinach popołudniowych. Dr Biegański stwierdził, że znikła bez śladu zagadkowa przemiana krwi. Bogu Najwyższemu dzięki!... To cudowne, prawdziwie opatrnościowe ocalenie naszej dziewczeczki musiało wyrzucić na niej silne i głębokie wrażenie. Zdaje się pod jego wpływem dojrzało w niej niezłomne postanowienie, by odtąd poświęcić życie wyłącznie Bogu i Jego chwale. Trzeba przyjąć to spokojnie, Panie Jerzy, uznać jej wolę, tak jak myśłmy oboje z Henrykiem ją uznali. Widocznie to jej było losem przeznaczone...

Jutro wieczorem wyjeżdżamy do północnej Francji, do Trouville nad morzem. Tam Halszka rozpocznie swój nowicjat w klasztorze panien klarysek...

Żegnam Pana, Panie Jerzy, żegnam jak syna. Bóg mi świadkiem, pragnęłam widzieć Was Oboje połączonych węzłem małżeńskim, pragnęłam z duszy całej pobłogosławić Wasze drogie głowy. Lecz znać sądzonym było inaczej. Przyjm z pokorą wolę Nieba i pomyśl, że może od Twego wyrzeczenia się zawisło<sup>196</sup> jej życie...

*Szczerze życzliwa*

*Stanisława Grodzieńska*”

Jak piorunem rażony siedziałem długo, wpatrując się bezmyślnie w pismo. W głowie huczało mi nieznośnie, gardło ścisnęły niewidzialne kleszcze. Machinalnie opuściwszy

List

<sup>196</sup>zawisnąć (daw.) — zależeć. [przypis edytorski]

wzrok na adres listu drugiego, poznałem jej rękę. Błysk nieuzasadnionej nadziei rozdarł mrok rozpaczy. Otworzyłem kopertę. Z wnętrza wypadły dwa arkusiki papieru: jeden, pisany ręką Halszki, zawierał tylko te trzy słowa: „Przebaczam Panu. — Helena” — drugim był jeden z listów pisanych przeze mnie do Kamy: namiętny, pełen uwielbienia i szalu.

Wzdrygnąłem się jak pod ukąszeniem węża. Straszliwa zemsta kochanki dosięgła mnie w samo serce... Ból ostry przeszył mnie na wskroś i pograżył w odrętwienie. Głucha rozpacz zaległa martwością domu i tłukła się bezsilna po ścianach. Jakiś biedny, słaby człowiek tarzał się w podrzutach katuszy i gryzł palce w nieludzkim cierpieniu. Biedny, marny człowiek...

Jęk mnie obudził żaloszny, przeciągły jak wycie wichury. Tępym, automatycznym krokiem wywlokłem się z mieszkania...

Po drodze mijalem jakieś domy, ulice, spotykałem jakichś ludzi, odpowiadałem na czyjś ukłon. Ktoś mnie raz zaczepił i mówił coś do mnie żywo i wśród gestów, nie pamiętam co. Na rogu którejś z przecznic ktoś inny potrącił mnie w pędzie, omal nie obalił na bruk. Nie wziąłem mu tego za złe. Zatoczyłem się tylko jak pijany i poszedłem dalej...

Gdzieś już pod zachód zadzwoniłem do bramy znanego mi domu. Wyszedł sługa stary, w ciemnowiśniowej liberii<sup>197</sup>.

— Państwo w domu? — rzucam śmieszne pytanie.

— Wyjechali za granicę.

— Na długo?

— Nie wiem, proszę pana...

Brama zamknęła się z powrotem. Kalwaria włóczęgi bez celu rozpoczęła się od nowa. Znalazłem się wreszcie na Parkowej.

— Numer 6! — powtarza mi wciąż głos czyjś uparty. — Numer 6!

Jest, jest! Widnieje z daleka biała tabliczka z czarną szóstką na czole furtki. Bo tylko furtka została — żelazna furtka i siatka z zielonego drutu. He, he, he! Siatka otaczająca starannie, z pedanterią godną lepszej sprawy, czworobok z rumowia! Co?!... Jest i taster<sup>198</sup> od dzwonka?... Czemuż by nie? Ocalał guzik i część drutu rozpiętego na parkanie.

Podnoszę palec i naciskam kontakt.

— Halo! Andrzeju, jesteś w domu?...

O ironio! O mocy przyzwyczajenia!

Wchodzę w obręb siatki; przemierzam jak lunatyk mały wirydarz<sup>199</sup>, zasypany w części odmiotami gruzu, i staję w samym sercu ruiny. Jest zachód i czerwony uśmiech słońca krwawi się na strzyży z wapna, tynku i cegieł. Ani śladu choćby jednej ściany, choćby ułamka muru, choćby wspomnienia zrębu. Wszystko na proch starte, na biały, sypki, chrzęszczący pod stopą miał... Co za pustka!...

Słyszę głos swój chrapliwy, zmieniony, obcy:

— Andrzeju! Andrzeju!

Z sąsiedniej willi wychyla się z okna nad granicznym parkanem głowa jakiejś kobiety.

— Kogo pan szuka?

— Czy pan Andrzeju Wierusz wyjechał?

— Nie znam tego pana.

— Jak to? Sąsiad pani najbliższy, były właściciel tego domu.

I ruchem ręki wskazuję ruiny.

— Nazwisko mi zupełnie nie znane. Właścicielem był inżynier Rudzki, który zginął pogrzebany pod gruzami tej willi *jeszcze przed 10 laty*.

— A potem? Kto odbudował dom ten potem?

— Nikt. Od 10 lat miejsce leży odłogiem.

— To szaleństwo! Tutaj jeszcze przed miesiącem stał dom! Katastrofa nastąpiła 24 czerwca!

Kobieta uśmiecha się i patrzy na mnie w szczególny sposób.

<sup>197</sup>liberia — oficjalny strój służby. [przypis edytorski]

<sup>198</sup>taster — tu: przycisk. [przypis edytorski]

<sup>199</sup>wirydarz (daw.) — czworoboczny dziedziniec, zwykle z ogrodem. [przypis edytorski]

— Pan uległ zapewne pomyłce. Może to przy innej ulicy. *Te ruiny istnieją tu od 10 lat...* — Uśmiecha się raz jeszcze i znika w głębi mieszkania. W głowie odczuwam nagły ból, na oczy kładzie mi się czarny, nieprzenikniony całun...

— Więc czym byłem ja od roku? Kim był Wierusz? Kim Kama?...

A może to wszystko jest snem tylko, złym, trującym czadem swych wyziewów snem?...

Nie! Nie!... Tu, na piersiach, mam jej list, jej pożegnalny list, streszczający się w trzech okrutnych słowach! To rzeczywistość, to straszliwa w swej prostocie rzeczywistość!...

Z królestwa zmyły, z mrocznych snu krużganków wyniosłem na światło dnia tę jedną, tę jedyną pamiątkę...

*Jesienią i zimą r. 1922.*

---

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z *Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur*.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na *Licencji Wolnej Sztuki 1.3*.

Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w *Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur*. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/salamandra>

Tekst opracowany na podstawie: Stefan Grabiński, Salamandra, Cień Bafomet, Wydawnictwo Literackie, Kraków 1980.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>). Reprodukacja cyfrowa wykonana przez Fundację Nowoczesna Polska z egzemplarza pochodzącego ze zbiorów Pauliny Choromańskiej. Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Magdalena Świąkatoń, Paulina Choromańska, Paweł Koziol.

ISBN 978-83-288-0250-6

*Wesprzyj Wolne Lektury!*

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

*Jak możesz pomóc?*

Przekaż 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

Wspieraj Wolne Lektury i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: [szczegóły na stronie Fundacji](#).